

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 39.

POPRÓŻ

DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO

Fridtjofa Nansena

w przekładzie
i z przedmową

Stanisława Janiszewskiego.

(Z ILUSTRACYAMI)

TOM II



Fridtjof Nansen

Cena 40 kop.

W prenumeracie 30 1/2 k.

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja:

47. Nowy-Swiat 47.

1898.

2177

ff

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) . rs. 10

Rocznie . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Półrocznie (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Za odnośzenie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) rs. 1 kop. —

Półrocznie . (za 26 tomów) „ 3 „ —

Kwartalnie (za 13 tomów) „ 1 „ 50

KOMITET REDAKCYJNY:

- Dr. Piotr Chmielowski,
- Teodor Jeske-Choiński,
- Dr. Julian Ochorowicz,
- Julian Adolf Święcicki.

SEKRETARZ REDAKCYI

Edward Nicz.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc Jul. Granowski.



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

NIE WYCZYŃ KSIĄŻEK

1145

135





CZY
Roc
P&h
Kwa
Za o

Dział:

3345

12-13

001.005 V

12-13

6

1526

2177

Dotychczas wyszły:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księżstwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psałterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perelka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.
20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.

Tom.

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1825)**, z przedmową *Bronisława Chłz-bowskiego*.
 - 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
 24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 - 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
 31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 - 32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andréo'go balonem do bieguna**, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 - 35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąmpeczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Scglasa**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 - 38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego**, w przekładzie i z przedmową *Stanisława Janiszewskiego*.
-

6112.733.

* w Pruszkowie *

Fridtjof Nansen.

[Redacted]

PODRÓŻ DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO

VII

W przekładzie i z przedmową

Stanisława Janiszewskiego,

inż. odn.

I 43. 345 ✓

(Z ILUSTRACYAMI).

I 46. 729 ✓

I 504. 505 ✓

TOM II.

NIE WYCZYŻYĆ KSIĄŻEK
Biblioteka miejska
5246
w Pruszkowie

dat. 1. 11. 56

9/59 10/59 2R

WARSZAWA.

1898

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.



910.4(26) 913(9)

929-051 A12

SN 1771.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Іюля 1898 года.

WYDANO Z DUBLETOW
Biblioteki Narodowej

ROZDZIAŁ VII.

Odwrót do ziemi Franciszka-Józefa.

Niemaló zdziwiliśmy się, gdy na początku naszej drogi powrotnej znaleźliśmy lód daleko lepszym, aniżeli wówczas, gdy posuwaliśmy się na północ. Przed nami widnieją szerokie równiny, jednolite, poprzerynane od czasu do czasu rzadkimi łańcuchami wzgórz i kanałami, pokrytymi świeżym lodem.

10 kwietnia przechodzimy dość znaczną przestrzeń, wynoszącą mil piętnaście.

12 kwietnia. Zapomniałem ponakręcać zegarki. Dla otrzymania średniego czasu podług Greenwich, uczyniłem spostrzeżenia południkowe i określiłem długość geograficzną miejsca, gdzie znajdowaliśmy się podówczas, później oceniłem odległość od punktu, z którego cofnęliśmy się, od tego, gdzie robiliśmy ostatnie spostrzeżenie długości. Dzięki takim ostrożnościom, błąd w ocenianiu położenia nie powinien być zbyt wielkim.

14 kwietnia. Dziś przypadają święta Wielkanocne. Spędzam dzień na określaniu długości i szerokości geograficznej czasu średniego.

Te wyrachowania matematyczne i roboty z logarytmami wtedy, gdy palce marzną i drętwieją od zimna, gdy odzienie pokrywa się lodem na plecach, trudno nazwać zajęciem arcy przyjemnem. Temperatura nie jest niższą od -30° , a zatem jest względnie bardzo ciepło. Podług mych obrachowań, powinniśmy byli znajdować się pod $86^{\circ} 5' 3''$, podczas gdy oceniając położenie podług poprzednich obserwacyj naszych, byliśmy pod $85^{\circ} 50' 2''$ z kilku sekundami. W ciągu 4 dni przebiegliśmy 50 mil. Teraz wszystko każe nam przypuszczać, że prąd unosi nas ku północy i dlatego nie przeszliśmy jeszcze 86° .

Następnych dni posuwamy się bardzo szybko, jakkolwiek ławica jest obecnie daleko więcej nierówną, aniżeli w początkach odwrotu. 17-go kwietnia przebiegliśmy 20 mil. Niebo jest ustawicznie jasne, a słońce świeci w atmosferze zupełnie spokojnej. Od chwili cofnięcia się jeszcze ani razu nie zatrzymała nas niepogoda, temperatura podnosi się i termometr wskazuje obecnie nie więcej nad 27° . Zbliżamy się ku latu. Tak piękna pogoda, lubo przyjemna wogóle, w tych jednak stronach mogłaby spowodować wiele trudności i niebezpieczeństw, przyśpieszając pęknięcie lodów i utrudniając zbliżenie się do brzegów.

20 kwietnia. Tracimy napróżno kilka godzin, aby przejść szeroki kanał wypełniony bryłami, które nagromadziły się strasznie chaotycznie. Ze wszystkich stron widzimy łańcuchy wzgórz i szerokie rozpadliny. Lód ten musiał długo być w ruchu i podlegać wielkim naporom. W wielu miejscach wzgórze sięgają wysokości 8-iu metrów i zawierają w so-

bie warstwy materiałów mineralnych. Jedna mianowicie bryła lodowa jest całkiem zabarwiona jakimś ciałem na kolor czarny. Brak mi jednak czasu na bliższe określenie tej rzeczy.

Po długich poszukiwaniach udaje mi się wreszcie odkryć drogę w tym labiryncie lodowym. Któż opisze moje zdziwienie, gdy ujrzałem olbrzymi, pień modrzewiu syberyjskiego, sterczący wśród ławicy. Wyryliśmy na nim litery F. N. H. I. i szerokość danego miejsca: $85^{\circ} 30'$.

Podczas kilku następnych dni ławica, stosunkowo dość gładka, pozwala nam szybko mknąć na łyżwach „ski.“ W ciągu dwóch dni przebiegamy co najmniej 40 mil.

26 kwietnia zdziwiłem się bardzo, ujrzawszy na śniegu świeże ślady lisa, który biegł tędy od zachodo-południo-zachodu ku wschodowi; co u licha mógł on porabiać pod 85° ? I mimowoli obejrzałem się naokoło, czy nie odkryję lądu. Na nieszczęście, powietrze jest zamglone, poprzestaję zatem na przypuszczeniu, że prawdopodobnie lis ten dobiegł tak daleko w pogoni za niedźwiedziem. Posuwając się dalej, odnajdujemy znów lisie ślady, idące w tym samym, co i poprzednio kierunku.

Najniższa temperatura dosięga — $35,7^{\circ}$. Wczoraj natrafiliśmy na świeży zwał. Zauważyłem w nim olbrzymie odłamy lodu z wody słodkiej, zawierające cząsteczki gliny i żwiru; widocznie pochodzą one z rzek syberyjskich. Nawet tak daleko na północy, jak obecnie się znajdujemy, spotykałem podobne kry, a ślady gliny spostrzegałem na powierzchni ławicy aż po za 86° szerokości północnej.

27 kwietnia. Dziś przebiegliśmy znaczną przestrzeń, mianowicie około 20-tu mil. Opuściliśmy obozowisko wczoraj o 3-iej po południu i szliśmy ciągle, aż do dziś zrana. Wkrótce nastąpi chwila, gdy już będziemy mogli cieszyć się nadzieją ujrzenia lądu. O ziemio, kiedyż to znów ujrzymy ciebie? Kiedyż pozwolisz nam stąpać po sobie, nie, jak teraz, po śniegu i lodzie?

Dziś znów widzieliśmy ślady lisa i również w tym samym co poprzednio kierunku.

Jeden z psów naszych już goni resztkami życia, nie może się biedak utrzymać na nogach. Pomieściliśmy go zatem na saniach, gdzie leży bez ruchu jak kłoda. Uwalniamy go dziś jeszcze od cierpień. Biedne zwierzę! Do samego końca pracowało ono usilnie, a teraz, gdy już nie może ciągnąć, jeszcze oddaje nam usługę, zwłoki bowiem posłużą za pokarm tym towarzyszą jego, którzy jeszcze pozostali przy życiu. Urodził się 13-go grudnia 1893 roku na pokładzie „Frama“ i w całym życiu swoim nie widział nic, prócz śniegów i lodów. Nazajutrz, ku wielkiemu zdumieniu, napotykaemy na obszerne zbiorowisko wolnej wody. W chwili, gdy szukamy przejścia, brzegi schodzą się ze strasznym hukiem. Wskutek uderzenia, lód wznosi się pionowo, olbrzymie bryły zwałają się na dół. Wszystko zgrzyta i ryczy. Puściliśmy psy naprzód, ażeby, korzystając z wstrząśnienia, przebyć tę szczelinę.

Z dnia na dzień zaprząg nasz staje się słabszym. Zaczynam wierzyć, że zbliżamy się do lądu, ujrzeć go zaś spodziewam się w każdej chwili.

29 kwietnia. Spędzamy jeszcze jeden dzień

piekielny. W pobliżu obozowiska napotykamy na drogę, zamkniętą nowym kanałem, później drugim, później trzecim, i za każdym razem musimy okrążyć je, nakładając drogi. Do przejścia przez te szczeliny nie możemy używać kajaków, gdyż są bardzo podziurawione, my zaś nie możemy obecnie zająć się ich naprawą, gdyż takie przedsięwzięcie strawiłoby wiele czasu i byłoby zbyt uciążliwym teraz, gdy mróz dosięga — 30°. Przedewszystkiem musimy dobrać do ziemi, nim zacznie się pęknięcie lodów.

Po czterech godzinach pochodu znów napotykamy wyrwy i łańcuchy wzgórz. Lód zgrzyta pod nogami naszymi, przytem tumany śniegu zasłaniają widok i zmuszają do zatrzymania się w miejscu. Za ledwie rozpięliśmy namiot, gdy pagórek, u stóp którego się znajdujemy, zaczyna się poruszać i trzeszczeć straszliwie. Możemy być zgnieceni przez bryły lodu, które staczają się zeń; ale jesteśmy tak zmęczeni, że pomimo niebezpieczeństwa, zasypiamy smacznie.

Wieczorem przyszło nam poświęcić jednego z psów naszych. Od jakiegoś czasu wyczerpała się żywność, zmuszeni przeto jesteśmy zabijać jednego po drugim, aby nakarmić pozostałe. Psiarnia nasza składa się obecnie z 16-tu zwierząt, a jeszcze daleko do łądu.

3 maja. Temperatura podniosła się do 11,3°, mamy zatem ciepło wiosenne, przedsmak dobrego i przyjemnego bytu. Kogo opanuje senność, kto poczuł całą przyjemność, jaką daje ciepło, ten zapomina szybko o zmęczeniu i cierpieniach przebytych. Chwilami czuję się tak znużonym, że chwieję się na

nogach, a gdy upadnę, bierze mnie chęć pozostania w tej pozycji na zawsze.

8 maja. Kanaly, przerzynające ławicę, wydają się wszystkie równoległymi między sobą. Biegają one od północo-wschodu do zachodo-południo-zachodu, to jest są prostopadle do kierunku naszej drogi.

Spostrzeżenie, że lód staje się tem gładszy, im bliżej jesteśmy ładu, przejęło nas żywszą radością, spodziewaliśmy się bowiem czegoś wręcz przeciwnego. Liczba psów zmniejsza się z dnia na dzień, wskutek tego ciągnięcie sani jest tem trudniejszym dla nas. Przy moich saniach mam tylko pięć tych zwierząt.

10 maja. Dziś jest względnie ciepło: — 8,8°. Wczoraj lód był gładki, spodziewaliśmy się przeto dobrej drogi, gdy nagle spadł śnieg i zmusił nas do obozowania.

Dziś, po kilku słonecznych godzinach, znów zaczął padać gęsty śnieg i zamglił zupełnie powietrze.

Na każdym kroku spotykamy łańcuchy wzgórz i bryły lodu, podniesione w czasie nacisków. Wśród mgły gęstej nie możemy podróżować w takim labiryncie.

12 maja. Wkrótce opróżnimy nasz drugi wór z chlebem, a ładu jak nie widać, tak nie widać. Pozostało już nam tylko 12-cie psów, a siły ich zmniejszają się codziennie; w miarę posuwania się naprzód ławica staje się wciąż trudniejszą do przebycia; lód jest pokryty śniegiem, który nie może utrzymać ciężaru naszego. Gdy odwiążemy łyżwy, aby popchnąć sanie, zapadamy w szczeliny, przykryte tą warstwą zwodniczą.

Dziś temperatura jest względnie wysoka; poprzedniej nocy ciepło, udzielane przez wory do spania, było tak wielkie, że nie mogłem zasnąć. Minimum temperatury wynosi $-14,2^{\circ}$.

16 maja. Dziś przypada rocznica urodzin Johansena. Obchodzimy dzień ten z taką wystawnością, na jaką pozwalają nasze środki. Na obiad mamy potrawę mięsną, przygotowaną w sposób ulubiony przez Johansena, a na wety zapijamy wyśmienity grog z sokiem cytrynowym.

Wczoraj byliśmy pod $83^{\circ} 36'$ szer. północnej i $59^{\circ} 55'$ dług. wsch. od Greenwich. Widocznem jest przeto, że jakiś szybki prąd popycha nas na zachód i że tym sposobem ominąć możemy północną kończynę Ziemi Franciszka-Józefa.

Po równym lodzie psy ciągną sanie jeszcze dość prędko, ale wobec najmniejszej przeszkody wzbraniają się postępować naprzód. Ponieważ zaś ławica staje się bardzo pogięta, wysuwam się przodem, aby rozpoznać drogę. Kto z nas dwóch postępuje naprzód, ten przebiega co najmniej trzy razy tę samą przestrzeń, najpierw bowiem idzie w celu odkrycia i przygotowania przejścia, później zaś powraca, ażeby poprowadzić zaprzęg. Pomimo rozmaitych przeszkód, idziemy wciąż dalej. Może wreszcie tyle usiłowań daremnych doczeka się nagrody pożądaney.

W istocie bylibyśmy zadowolnieni, gdybyśmy znaleźli jednolity lód i doszli do łądu.

Dziś znów natrafiamy na cztery nieznośne szczeliny. Ostatnia z nich tworzy prawdziwe jezioro. Cała powierzchnia wody pokryta jest świeżym

lodem, zbyt słabym, aby unieść nasz ciężar, a zarazem zanadto odpornym, abyśmy mogli płynąć kajakami. Przytem ten kanał, nie przedstawiający żadnej możliwości przebycia, ginie tak daleko na zachodzie, że okiem nie dojrzeć końca. Nie posiadamy zbyt wielkiego wyboru środków do przebycia tej przeszkody, musimy więc albo płynąć po kanale ku zachodowi, dopóki nie znajdziemy przejścia—co usuwa nas z raz obranej drogi, albo też powracać i szukać na wschodzie miejsca, gdzie będziemy mogli go obejść. Wybrałem pierwszą alternatywę i oto wkrótce znaleźliśmy, na szczęście, dosyć grubą skorupę lodową, pokrywającą kanał od jednego brzegu do drugiego. W końcu też bez wielkich wysiłków przebywamy szybko szczelinę, przy której spodziewaliśmy się stracić dni kilka. Zadowolenie nasze trwało wszakże nader krótko, w niewielkiej bowiem odległości napotykaemy drugi kanał. Dosyć tego na dzisiaj, decydujemy się zatem obozować.

17 maja. Dziś przypada święto narodowe norweskie. Leżąc w worze do spania, rozmyślam o radości, jaka panować teraz musi w kraju. I my także myślimy obchodzić uroczyście tę drogą naszemu sercu datę: chorągiew narodowa powiewa nad saniami, a na obiad mamy prawdziwą ucztę, składającą się z soczystej potrawy mięsnej, konfitur z borówek i cytrynowego grogu.

Przed nami, w jeziorze, swawoli cała gromada jednorożców, lecz nie możemy urządzić na nie polowania, bo zajęłoby to zbyt wiele czasu.

Po przejściu kanału, grunt staje się znów dogodnym do podróży. Przebywamy około 10 mil

dziennie, a prądy coraz więcej odsuwają nas ku zachodowi,

20 maja. Dziś pada śnieg i gęstym tumanem zasłania nam widok; pozostajemy w namiocie i leżąc, rozmyślamy o smutnem położeniu.

Musimy się znajdować około 83° 10'. Wskutek tego powinniśmy być w pobliżu ziemi Petermana, jeżeli ta ostatnia naprawdę jest położona w miejscu, gdzie ją wskazuje mapa Peyer'a. Jedno z dwojga jest możliwe: albo my jesteśmy bezwiednie odrzuceni z drogi, albo ziemia ta jest tak mała, że nie mogliśmy jej odróżnić.

21 maja. Powietrze ciągle zamglone i śnieżne; pomimo to puszczamy się w drogę.

Przechodzimy wielką liczbę szerokich i długich otworów, pokrytych świeżym lodem; widocznie w tych okolicach przed niedawnym czasem była szeroka przestrzeń wolnej od lodów wody.

Dziś mieliśmy najstraszniejszy dzień z całej naszej podróży. Zaraz po wyruszeniu w drogę zatrzymała nas bardzo szeroka szczelina. Dotąd nie mieliśmy jeszcze tyle trudności, ile ich nastęczyło przejście przez ten kanał. Po daremnem a trzygodzinnem poszukiwaniu przejścia, zdecydowałem się iść ku wschodowi, przypuszczając, że może w tej stronie znajdziemy jakiś „most z lodu.“ Gdy przybyliśmy jednak do końca tego, co mieliśmy za jezioro, dostrzeżliśmy tylko zbiorowisko nierozwikłane pagórków i brył lodowych, porozdzielanych szerokimi szczelinami i ścierających się gwałtownie z sobą. Tylko z niemałym trudem mogliśmy postępować między kawałami lodu, a gdy już wydawało się nam, że

doszliśmy do końca kanału, przed nami otwarły się nowe szczeliny, przedstawiające jeszcze więcej trudności do przebycia.

Możnaby sądzić, że ławica dostała konwulsji. Przez jakiś czas położenie nasze jest bez wyjścia. Ze wszystkich stron widzimy coraz nowe rozpadliny, ciemno-błękitny zaś kolor nieba każe się domyślać istnienia w tem miejscu szerokich przestrzeni wolnej wody.

Po południu od godziny 1-ej do 3-cj odpoczywamy. Wyciągnąwszy się wygodnie w worach do spania, zapominamy o wszystkich kłopotach naszych. Gdy znów puściliśmy się w drogę, spadła gęsta mgła; nie możemy odróżnić ściany lodowej od powierzchni topniejącego śniegu; przebywamy niezliczoną ilość szczelin i pagórków. Na szczęście, każda rzecz ma swój koniec: po przebyciu też tych strasznych zwałów doszliśmy do względnie płaskiej równiny. Od piętnastu godzin jesteśmy w pochodzie, a od dwunastu pracujemy wśród labiryntu lodowego. Jesteśmy bez sił i przemoczeni nawskroś.

Zwodnicza warstwa śniegu pokrywa otwory w lodzie, wypełnione wodą; nie wiem nawet, ile razy wpadliśmy do niej i zamaczali nogi. Rano znajdowałem się na bryle, która wydawała się zupełnie pewną, gdy nagle załamała się podemną. Miałem za ledwie tyle czasu, ażeby przeskoczyć na inną, oporniejszą bryłę, znajdującą się w pobliżu. Gdyby nie to, byłbym użył przymusowej kąpieli w topniejącym śniegu; położenie wcale nieprzyjemne.

26 maja. Śnieg nie może już unieść ciężaru naszego. Przytem, gdy tak jest pochmurno, jak to

było wczoraj, odróżnić się nie da nierówności gruntu. Pod białą pokrywą świeżego śniegu wszystko wydaje się jednakowo białem i gładkiem. Psy nie mogą ciągnąć. Na szczęście, rezultat ostatnich obserwacji jest zachęcający, powinniśmy bowiem być pod $82^{\circ} 42'$ szer. półn. i $61^{\circ} 27'$ dług. wsch., przestaliśmy zatem zbaczać ku zachodowi. Wobec tego przyszłość wydaje się mniej czarną.

27 maja. Jesteśmy pod $82^{\circ} 30'$. Nie widać wcale łądu. Prawdopodobnie znajdujemy się o kilka stopni dalej na wschodzie, aniżeli to przypuszczamy ¹⁾.

Lód, po którym stąpamy, jest płaski; prawdopodobnie niema więcej nad rok, bardzo rzadko napotykamy kawały lodowe starsze. Podczas popasu nie możemy znaleźć bryły, któraby w lecie wystawiona była na działanie słońca i która wskutek tego straciłaby wszelkie ślady soli. Dla otrzymania wody musimy topić śnieg. Jeżeli ten ostatni nie jest bryłkowaty, dostarcza jej daleko mniej aniżeli lód i wymaga więcej ciepła. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, w czasie ostatniego lata lub jesieni musiała rozciągać się w tem miejscu obszerna powierzchnia wolnej wody.

29 maja. Wczoraj po raz pierwszy ujrzelśmy ptaka morskiego (*Procellaria glacialis*).

Wyjechaliśmy w nadziei, że poźegnaliśmy się już z kanałami i szczelinami, przerywanymi łąwicę, tymczasem zaledwieśmy ruszyli, kolor nieba zwiastował nam obecność nowych wodozbiorów.

¹⁾ W rzeczywistości znajdowaliśmy się o 6° dalej na wschodzie, aniżeli mówiły nam nasze obserwacje.

Wdrapałem się na szczyt lodowego pagórka, a widok, który z tamąd przedstawił się oczom moim, odjął mi odwagę. Ze wszystkich stron nic innego nie widać, prócz labiryntu szczelin i rozpadlin, we wszystkich możliwych kierunkach przerzynających łąwicę. Prawdopodobnie ciągną się one w ten sposób niejednocie aż do ziemi Franciszka-Józefa. Przyszliśmy albo zapóźno, albo zawcześnie. Gdyby teraz był marzec, mrozy prędko przerobiłyby te pola lodowe na stałą masę, podczas gdy za miesiąc tak się rozluźnią, że w rozpadlinach ich będzie można żeglować na kajakach. Teraz jest to niemożliwe, gdyż świeży lód uszkodziłby pudła wątlých statków.

Zrana, gdy dobywaliśmy reszty sił, aby przejść szczeliny w lodzie, przeleciał nad nami Nurzyk (*Uria grylle*). Nieco dalej usłyszeliśmy ryczenie fok i wkrótce ujrzeliśmy jedno z tych zwierząt, ale na nie szczęście nasze, znajdowało się ono po za linią strzału.

Zwierzyna zaczyna się pokazywać, położenie nasze nie jest zatem bez nadziei. Cokolwiek nas czeka, iść musimy naprzód.

31 maja. Lód staje się coraz cieńszym.

Wczoraj widzieliśmy dwie foki (*Phoca toedita*), jednego ptaka i spotkaliśmy ślady niedźwiedzia i dwóch niedźwiedziątek, a zatem będziemy mogli zaopatrzyć się w świeże mięso.

Musimy poświęcić Pana, najwytrwalszego z psów naszych. Biedne zwierzę jest zupełnie wycieńczone, przyszła więc na niego kolej posłużenia za pokarm dla towarzyszków, którzy mogą jeszcze nas ciągnąć.

Grunt nie do przebycia; jest to chaos brył, ply-



Badanie temperatury głębi morza (12 lipca 1894 r.).

wających wśród wody. Posuwamy się naprzód, przeskakując z jednego kawała na drugi. Gdybyśmy byli sami, byłoby jeszcze pół biedy, ale mamy z sobą sanie, a z takim ciężarem ten rodzaj odbywania podróży pozbawia nas sił.

Od 82° 32' do 82° 19' ławica składa się przeważnie z młodego lodu, około 0,8 m. grubości. Na całej tej olbrzymiej przestrzeni spotkaliśmy zaledwie kilka większych brył lodowych i rzadkie pola „starego“ lodu, jak na przykład to, na którym obecnie rozłożyliśmy się obozem. Morze zatem musiało być wolnem na przestrzeni około 33 mil na północy, a w kierunku południa powierzchnia jego musiała sięgać bardzo daleko.

Dziś jesteśmy pod 82° 21', a nie widzimy ani śladu ziemi. Położenie nasze staje się coraz więcej zagadkowym. Miejmy jednak cierpliwość.

ROZDZIAŁ VIII.

W a l k a o z y c i e .

1 czerwca. Zajmuje mnie obecnie pytanie, czy osiągniemy ziemi przed końcem tego miesiąca. Powinniśmy mieć nadzieję i wierzyć w szczęśliwy koniec wyprawy. Śnieg pada, powietrze jest zamglone; przytem wieje wiatr niepomyślny. Zaraz po ruszeniu w drogę zatrzymał nas kanał, który na razie

wydawał się nie do przebycia; okrążyliśmy go jednak w kierunku północy i ominęli przeszkodę.

Dalej idziemy po gładkiej równinie aż do południa. Później jeszcze przez $1\frac{1}{2}$ godziny spotykamy równy i jednolity lód, poczem znów zaczynają się utrapienia. Droga wszędzie zamknięta szerokimi szczelinami i przez $1\frac{1}{2}$ godziny napróżno staramy się wynaleźć przejście.

2 czerwca. Kanał, który zatrzymał nas wczoraj, rozszerzył się w nocy do rozmiarów szerokiego jeziora, a my znajdujemy się na wyspie lodowej wśród tej powierzchni wodnej. Nie możemy się dłużej wahać i należy nam przystąpić niezwłocznie do odnowienia kajaków. Pomieściliśmy się w odosobnionej części naszej wyspy lodowej i pracujemy spokojnie, nie odczuwając wcale przykrego wpływu świeżego wiatru, który dmie z południo-zachodu. Na obiad spożywamy wyśmienitą potrawę mięsną, poczem, jak sybarci, oddajemy się słodkiemu odpoczynkowi, który od czasu do czasu jest niezbędny, ażeby potem z tem większą ochotą wziąć się do pracy.

Rozpruwam skóry mego kajaka dla poczynienia odpowiedniej naprawy, poczem napowrót powiązałem wszystkie sznurki, łączące oddzielne kawałki szkieletu. Teraz jest on równie trwały, jak w chwili naszego odjazdu. Po naprawieniu statków nie potrzebujemy się obawiać już ani kanałów, ani jezior i będziemy mogli pływać pomiędzy kawałami topniejącej ławicy. Jedyłą przeszkodą będzie przewóz psiarni, składającej się obecnie z 6 psów, ale, ponieważ mamy dla niej żywności wszystkiego na

cztery dni, będziemy zmuszeni, chcąc nie chcąc, rozstać się z niemi.

4 czerwca. Niezadługo morze uwolni się od lodów, albo przynajmniej ławica rozbije się na oddzielne kawały, porozdzielane szerokimi kanałami. Lód już teraz jest bardzo cienki, a temperatura wciąż się podnosi. Wczoraj rtęć termometru podniosła się powyżej zera. Słońce świeci prześlicznie, a w całej naturze panuje tak wesoły i rozkoszny nastrój, że chwilami wydaje mi się, iż jestem w kraju rodzinnym. Oby tylko morze pozbyło się prędszej lodów, a z pewnością wkrótce uda nam się powitać ojczyznę.

Dotychczas mogliśmy się najadać do syta, nigdy jednak nie przekroczyliśmy ilości przedtem określonej, t. j. jednego kilograma dziennie. Poczynając od dnia dzisiejszego, musimy zmniejszyć nasze porcy, aby zapasy wystarczyły nam do końca. Śniadanie nasze składa się z 36 gramów masła i 185 gramów chleba.

Dzisiejsze spostrzeżenia teodolitowe wskazały, że jesteśmy obecnie pod $82^{\circ} 17'$ szer. półn. i $61^{\circ} 16'$ dług. wschod. Nie mogę zrozumieć, dlaczego dotychczas nie natrafiliśmy na ziemię. W każdym razie już tylko nieznaczna przestrzeń dzieli nas od archipelagu Franciszka-Józefa.

6 czerwca. Pracujemy ciągle nad naprawą kajaków. Jutro prawdopodobnie ukończymy ją i będziemy mogli puścić się w drogę. Pozostało nam jeszcze 3,293 kil. masła; w razie, jeżeli nie będziemy używali dziennie więcej nad 36 gr. na osobę, wystarczyć nam powinien ten zapas na 23 dni. Dziś rano temperatura wynosiła $+ 2^{\circ}$. Dotychczas nie ob-

serwowaliśmy jeszcze tak wielkiego stosunkowo ciepła. Śnieg zmiękł zupełnie, a krople wody spadają z pagórków lodowych. Ostatniej nocy mieliśmy rzeczywisty deszcz.

8 czerwca. Kajaki są wreszcie gotowe. Dziwnem jest, zaiste, że mogliśmy tak długo pracować bez wytchnienia. Praca taka w kraju rodzinnym wycieńczyłaby nas ostatecznie, podczas gdy tu mamy wyśmienity apetyt i nie wiemy, co to jest bezsenność. Po trzech i półmiesięcznym pochodzie przez ławice czujemy się równie zdrowi, jak w chwili odjazdu.

Zapas chleba może wystarczyć jeszcze na 35—40 dni; przypuszczam jednak, że po upływie tego czasu nie będziemy mieli potrzeby korzystania z niego. Zresztą już teraz zaczyna ukazywać się zwierzyna.

Pod wpływem chłodnego wiatru, wiejącego z południo-wschodu, pozamykały się wszystkie kanały. Dziś szalała nad nami straszna burza, pomimo to jednak puszczaemy się w drogę. Ławica jest płaska i równa; posuwamy się szybko po jej jednolitej powierzchni, pomimo śniegu i innych warunków nieprzyjaznych. Świeży śnieg przylega do łyżew (ski) i nie pozwala im mknąć szybciej po lodzie. Biała mgła zasłania nam widok i na rozległości 100 kroków nie możemy odróżnić przedmiotów. Przeziębliśmy i jesteśmy przesiąknięci wilgocią; mimo to idziemy wciąż naprzód, gdyż w ten sposób zmierzamy do celu.

Wdarłem się na jeden z pagórków, aby rozpoznać powierzchnię, po której mieliśmy kroczyć; pod-

1

czas tego Johansen zauważył lekkie kolysanie się brył lodowych, jak gdyby ławica była poruszana lekkiem falami morskimi; czyliż bylibyśmy już w sąsiedztwie wolnego morza? Nie śmiem nawet uwierzyć temu; ileż to już razy widzieliśmy podobne kolysania, spowodowane naciskiem jednych brył na drugie!

W ciągu dnia zauważyliśmy ślady niedźwiedzia, przecinające drogę naszą. Nie mogliśmy ocenić, czy są świeże, czy dawne, gdyż śnieg obecny zaciera wszystko po kilku minutach, pomimo to wszakże jesteśmy silnie przekonani, że datują się one najdalej od wczoraj, gdyż psy nasze chciały gwałtem puścić się po tropie zwierza. Niedźwiedź zatem doszedł aż tutaj, i być bardzo może, że niezadługo napelnimy spiżarnię naszą świeżem mięsem.

9 czerwca Nadludzkie prawie czynimy wysiłki. Powierzchnia ławicy pokryta jest topniejącym śniegiem, w którym grzęzną sanie nasze; wciąż tworzą się nowe kanały, które musimy przepływać na kawałach lodu, jak na tratwach. Jest on świeży i cienki, i tylko kilka razy zauważyłem starsze, a zatem większe bryły, podczas gdy grubość powierzchni krystalicznej, po której kroczyliśmy, nie przechodziła 0,30—0,35 ct. Prawdopodobnie istniała w tych okolicach obszerna powierzchnia wolnego morza, która napewno z biegiem czasu znów się utworzy w tem miejscu. Gdy rozejdą się oddzielne kawały, z których jest utworzoną ławica, będziemy mogli żeglować we wszystkich kierunkach, podług woli naszej.

Przy powietrzu jaśniejszem zabieramy się natychmiast niespokojnie do badania horyzontu; jednak-

że nic nie możemy dojrzeć, chociaż na każdym kroku napotykamy wskazówki, świadczące o sąsiedztwie ziemi i morza, wolnego od lodów. Coraz częściej widzimy mewy, a dzisiaj dojrzeliliśmy Nurzyka karła (*Mergulus alle*). Kres więc niedaleki, ale czy nastąpi wkrótce? Cierpliwości i zawsze cierpliwości!

10 czerwca. Trudności stają się coraz większe; lód więcej teraz nierówny i poprzerzynany kanałami, aniżeli dni poprzednich. Nie przebiegliśmy dzisiaj więcej nad 3—4 mil. Jeżeli wiatr południowo-wschodni nie popchnął nas na północ, to powinniśmy znajdować się pod $82^{\circ} 8'$ lub $82^{\circ} 9'$. Po powierzchni zbitego śniegu łyżwy mkną szybko, gdy jednakże przełamie się ona, grzęźniemy w napół roztopionej warstwie.

11 czerwca. Pozostało nam tylko 5 psów; 3 z nich ciągną moje sanie, 2 służą Johansenowi. Jeżeli w ciągu trzech dni nie zdołamy powiększyć naszych zapasów, zniknie możliwość dłuższego ich żywienia. Ciągłe spodziewamy się końca podróży po ławicy, tak jednostajnej i tak nużącej, a tymczasem nadzieje nasze pelzną na niczem. Nie widać lądu, jakkolwiek znajdujemy się na szerokości przyładka Fligely, lub w najgorszym razie, o kilka minut dalej na północ. Wkrótce pochód stanie się niemożliwym po śniegu, na pół roztopionym, w którym psy zapadają za każdym krokiem, a który nam sięga po kolana. Pomimo to musimy iść naprzód, gdyż od tego zależy ocalenie nasze.

Wśród ciągłych utrapień drobna na pozór rzecz przywraca nam na chwilę nadzieję; wczoraj naprzykład ujrzeliśmy malego dorsza, pływającego po nie-

wielkiej powierzchni wody. Morze to zatem zawiera ryby, nie potrzebujemy więc obawiać się śmierci głodowej.

12 czerwca. Znow szerokie szczeliny przecinają nam drogę. Ułożyliśmy wpoprzek nich kilka brył lodowych, aby wytworzyć coś w rodzaju mostu. W chwili, gdy mieliśmy przechodzić, zerwał się huragan i zburzył naszą pracę. Zdecydowaliśmy się przeto obozować. Przestrzeń, jaką przebyliśmy dziś, nie jest większą nad jedną milę.

13 czerwca. Wyszedłem w drogę naprzód; za mną Johansen prowadzi moje i swoje sanie. Po rozpoznaniu gruntu, po którym mieliśmy dalej podróżować, powróciłem, aby w „pojeździe“ odbywać dalszą podróż. Na takich mozolnych poszukiwaniach upływa nam dzień cały. A ławica jest teraz poprzerzynana kanałami i najeżona pagórkami lodowymi. Nigdzie nie widać płaskiej równiny; nic, oprócz stosu szczątków, nagromadzonych w strasznym nieporządku. Droga wszędzie zamknięta; zaczynam przychodzić do wniosku, że jesteśmy ostatecznie zamknięci w topniejących lodowiskach. Kajaków nie możemy spuścić na wody, napelnione igłami lodowymi, gdyż pudła ich byłyby w jednej chwili zdruzgotane.

14 czerwca. Dziś upływa 3 miesiące od czasu, gdy opuściliśmy „Fram.“

Nagła zmiana w kierunku wiatru wpłynęła dzisiaj na obniżenie temperatury, możemy przeto po zamarzej powierzchni posuwać się prędzej. Na nieszczęście, wieczorem spadł gęsty śnieg i pokrył lód grubą warstwą, po której ciężko nam iść dalej. Wobec takich okoliczności byłoby szaleństwem puszczać

się w drogę, urządzamy przeto obozowisko, ale... kto nie pracuje, nie powinien jeść, śniadanie nasze ograniczamy zatem do ilości niezbędnie koniecznego pożywienia, pomimo, że jesteśmy zgłodniaли, jak wilki.

Dzień dzisiejszy spędziłem na sprawdzaniu moich obrachowań i przekonałem się, że od czasu wyjazdu nie popełniłem ani jednego błędu. Jesteśmy obecnie pod $82^{\circ} 26'$ sz. pół. i $57^{\circ} 40'$ dług. wsch. od Greenwich. Od 4 czerwca prądy znów odepchnęły nas ku północo-zachodowi. Wszystkie nasze usiłowania, podjęte za dni poprzednich, były daremne, gdy bowiem szliśmy ku południowi, powolny ruch wody odpychał nas wstecz. Wśród tych utrapień jeszcze pozostaje nam ta nadzieja jedyna, że prądy te zanoszą nas do wolnego morza. Rezultaty, otrzymane z dzisiejszych spostrzeżeń, utwierdzają mnie w tem przekonaniu, że znajdujemy się na wschód od przyładka Fligely. Prawdopodobnie pierwszą ziemią, do której dojdziemy, będzie wyspa Szpicberg. Zapewne bowiem przeszliśmy już archipeląg Franciszka-Józefa. Jeżeli jesteśmy tak daleko na wschodzie, jak przypuszczam, to wkrótce powinniśmy dojść do szerokich powierzchni wolnego morza, a wtedy łatwo nam przyjdzie dopłynąć do Szpicbergu. Zachodzi tylko pytanie, czy znajdziemy dostateczną ilość zwierzyny po drodze?

15 czerwca. Położenie jest istotnie rozpaczliwe. Po topniejącym śniegu i lodzie, najeżonym przeszkodami, nie sposób posuwać się dalej. Prawdopodobnie będziemy zmuszeni zabić nasze psy, a wtedy zyskamy żywności na 15 do 20 dni. Bardzo być może, że jesteśmy niedaleko od ziemi lub od powierzchni

wolnego morza, najrozsądniej zatem odbywać dalej podróż.

Zabiliśmy dwa psy. Przed wyjazdem jeden z nich miał nogi, jakby sparaliżowane; za każdym prawie krokiem upadał i nie mógł się podnieść.

Psiarnia nasza składa się z 3 zwierząt. Mimo to idziemy wciąż naprzód, jakkolwiek z wielkimi wysiłkami. Gdzie lód znajdziemy polamany, zmuszeni jesteśmy holować sanie jedne po drugich, wskutek tego jedną i tą samą drogę przebiegamy 3 razy i zaledwie przeszliśmy niewielki kawałek ku południowi. A barwa nieba wciąż mówi o obecności w pobliżu szerokich przestrzeni wolnego morza.

Wczoraj wieczorem puściliśmy się w drogę o 10-ej godzinie i zatrzymaliśmy się dopiero o 6-ej zrana. Na śniadanie spożywamy zupę z krwi zabitych psów; prawdziwa to uczta. Od kilku dni obywaliśmy się bez obiadu, ponieważ postęp nasz ku południowi był zbyt małym, abyśmy mogli pozwolić sobie na jaki zbytek.

Mamy 148 nabojów ze śrótem i 195 z kulami. Z takim zapasem amunicji będziemy mogli zaopatrzyć się obficie w żywność. W najgorszym razie, gdybyśmy polowali tylko na ptaki, to i tak 148 mew powinno zapewnić nam żywność, wystarczającą na czas jakiś. Taki przegląd arsenału napawa mnie otuchą. Jeszcze napewno będziemy mogli walczyć z przeciwnościami przez trzy miesiące, a po upływie tego czasu, jak należy się spodziewać, los nasz musi się poprawić. Gdybyśmy nie zdołali dojść do Szpicbergu przed odjazdem ostatnich rybaków norweskich, to zmuszeni byśmy byli tam przezimować, ale zimo-

wanie takie, w porównaniu ze strasznymi trudami i niebezpieczeństwami, na które byliśmy wystawieni w czasie podróży po ławicy, uśmiecha się bardzo. W każdym razie drogo przyplacamy nieuwagę, wskutek której zapomnieliśmy nakręcić zegarki. Niechaj nadzieja nie opuszcza nas jednak, bo czyż noc czarna nie poprzedza jutrzeńki?

Dnie następują za dniami, a każdy dzień przynosi jednakowo wycieńczające nas trudy. Przytem zapasy są prawie wyczerpane. Dla psów nie mamy żywności i karmimy je szczupłymi resztkami, wystarczającymi zaledwie na to, aby utrzymać je przy życiu. Wobec tego zdecydowałem się polować na wszystko, co nam się trafi, nawet na mewy.

Przebywanie kanałów, napelnionych szczątkami lodu, połączone jest z ogromnymi trudnościami. Obszerne powierzchnie wody są pokryte krą, nie mogącą unieść naszego ciężaru; co chwila jeden z nas bierze niepożądaną a zimną kąpiel.

18 czerwca. Zerwał się zimny wiatr zachodni, prawdopodobnie odrzuci on ławicę w tył na północ i znów stracimy kawał drogi ku południowi, kawał, zdobyty z takim trudem!

O godzinie 12-ej byliśmy pod $82^{\circ} 19'$. Zabilem dwa ptaki morskie i jednego Nurzyka Brünnich'a. Porcy nasze przeto powiększą się nieco. Ku wielkiej rozpaczy mojej chybiłem, strzelając do dwóch fok.

19 czerwca. Przed śniadaniem poszedłem ku południowi, aby zbadać g unt. Lód jest z początku gładki i jednolity, ale później dostrzegłem całą sieć kanałów, przerzynającą go we wszystkich kierunkach.

Jakkolwiek kajaki zewsząd napelniają się wodą, postanowiliśmy przepłynąć na nich te szczeliny.

Po śniadaniu, złożonem z 45 gramów chleba, zajęliśmy się naprawą kajaków, aby nam nie przesiąkły zapasy, gdy spuścimy je na wodę.

Po wieczery, tak samo skromnej jak śniadanie, położyliśmy się spać. Kto śpi, odżywia się tak samo, jak gdyby jadł obiad. Dla nas jest rzeczą wielkiej wagi żyć możliwie długo bez pożywienia. Położenie nasze staje się bardzo krytyczne. Zwierzyzny nie widać; zapasy wyczerpują się a ławica naokoło jest niemożliwą do przejścia.

Staralem się za pomocą siatki pochwyć kilka osobników z rodziny raków. Zdołałem złapać zaledwie kilka okazów, a między nimi jednego pteropoda (*Clio borealis*).

Bądźcobądź, musimy dojść do lądu, zanim wyczerpią się nasze skromne zapasy, a przede wszystkim musimy się uwolnić od części bagażu. Gdy nadejdzie stosowna chwila, zabierzemy tylko fuzye, kajaki, resztki zapasów żywności, a resztę pozostawimy na ławicy.

Stada nurzyków przelatują nad nami; niekiedy zatrzymują się tuż przy wchodzie do namiotu i podnoszą radosne okrzyki.

Są to jednak zbyt małe ptaki, na które nie warto tracić prochu. Od czasu, gdy zaczęły wiać wiaty zachodnie, fauna ptasia stała się liczniejszą.

Cienka skorupa lodu, pokrywająca śnieg stopniały, zalamuje się pod ciężarem sani. Dla wydobycia ich jeden z nas zaprzęga się do sani, podczas

gdy drugi popycha je z tyłu. Nawet „ski“ grzęzną w tej miazdze roztopionej.

Oprócz tego nieskończona ilość kanałów przecina nam drogę i zmusza do odwrotu.

Po kilku godzinach pochodu doszliśmy do obszernego jeziora. Teraz dla przebycia go użycie kajaków jest niezbędnem.

Skoro już i statki spuściliśmy na wodę, łączymy je razem za pomocą „ski“, wsadzonych pomiędzy rzemienie, pokrywające pomosty kajaków. Tym sposobem utworzył się rodzaj mostu między niemi, na którym pomieściliśmy sanie. Nie wiedzieliśmy, co zrobić z psami, gdy w chwili odjazdu usadowiły się na moście, łączącym obie łodzie, i pozostały tam bez ruchu, jak gdyby przez całe życie przywykły do tego rodzaju przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Podczas tych przygotowań ukazała się w pobliżu foka. Czekalem, dopóki kajaki nie zostaną zasłonięte, aby tem pewniej wymierzyć w nią harpunem i nie pozwolić jej się wymknąć. W chwili jednakże, gdy przygotowani byliśmy do ataku, zwierzę zniknęło nam z oczu. Już i przedtem kilka razy widzieliśmy te potwory i zawsze uciekały nam, zanim zdołaliśmy cios wymierzyć. Zdawałoby się, że tylko po to się zjawiały, ażeby opóźnić podróż naszą.

Obie nasze łodzie, naładowane saniami, workami i psami, przedstawiają widok cygańskiego taboru. Jakkolwiek poruszanie wiosłami, przy tylu przeszkodach, nie jest zbyt łatwem, płyniemy jednak naprzód i moglibyśmy uważać się za najszczęśliwszych w świecie, gdybyśmy mogli tak dzień cały, bez wielkiego zmęczenia, posuwać się naprzód. Kajaki, pomimo to,

nie są zupełnie zabezpieczone od przyływu wody i używanie pompy okazuje się kilkakrotnie potrzebnem.

Nic to jednak nie znaczy, gdyż jedynem naszym życzeniem jest znaleźć się na pełnem, wolnem od lodów, morzu.

Gdy przybyliśmy do drugiego brzegu jeziora, wyskoczyłem na lód; w tej samej chwili usłyszałem z tyłu lekki plusk fali. Foka, która leżała w pobliżu, a której przedtem nie dojrzałem, skoczyła do wody. W kilka minut później usłyszałem znów kołysanie się fali; była to druga foka (*Phoca barbata*) i nim zdążyłem pochwycić za fuzyę, skryła się w wodzie.

Pojawiła się po raz trzeci, gdy w najlepsze zajęty byłem przyciąganiem sanek na brzeg i gdy fuzya moja znajdowała się na dnie kajaku. Krzyknąłem tedy na Johansena, aby strzelał. Towarzysz mój chwyta za broń, celuje w chwili, gdy zwierzę zamierzało znów dać nurka, strzela, a foka obróciwszy się na wznak, ukazała się, krwią cała pokryta, na powierzchni wody. Zostawiłem sanie, chwyciłem harpun i z całej siły rzuciłem go w tłusty krzyż zwierzęcia, które jednakże żyło jeszcze.

Obawiając się, że harpun się odwiąże, uderzyłem fokę kilkakrotnie w kark nożem, a następnie rzuciłem drugi raz harpunem. Podczas tego sanie, uwolnione na poły od ładunku, ośliznęły się ze spadku lodowego i odepchnęły kajaki. Napróżno starałem się umieścić je napowrót na łodziach. Okazało się to niemożliwem; przód ich pograżony był w wodzie, podczas gdy tył spoczywał na kajakach. Pod wpływem takiego ciężaru, te ostatnie pochyliły się i za-

częły napelniać się wodą. Piecyk wpadł do morza; „ski“ wymknęły się drugą stroną, a kajaki coraz bardziej toną w wodzie. Nie możemy się dłużej wahać; musimy opuścić fokę, a śpieszyć na ratunek łodziom. A praca to ciężka bardzo. Są one przeciążone wodą i trudno bardzo przenieść je na suche miejsce. Dokonaliśmy jednak w końcu tego i powróciliśmy do zwierzyny.

Ciągnąc powoli liny od harpunów, po długiej i ciężkiej pracy wydobyliśmy zwierzę z wody na brzeg. Była to wtedy radość szalona, radość dzikich a zgłodniałych ludzi, mających nadzieję najeść się do syta. Że tam jeden z kajaków jest pełen wody, że ubrania nasze są zmoczone, nie obchodziło nas nic w tej chwili, bo i cóż to znaczy w porównaniu z wartością takiej zdobyczy! Kto wie, może ta foka uratowała nam życie!

Należy teraz przyprowadzić wszystko do porządku. Najprzód obejrzelśmy naboje, które, pomieszczone w nieprzemakalnej skrzynce, okazały się zupełnie nieuszkodzonymi. Przeciwnie pudełko, zawierające proch, napelnione było wodą. Chleb także przesiąkł cały słonym płynem. W naszym położeniu obecna rzecz to jednak małej wagi i nie mniej będzie nam smakował obiad doskonały, z takim trudem zdobyty.

Wogóle straty nasze są nieznaczne.

Po tak szczęśliwym zdarzeniu rozłożyliśmy się obozem. Pokrajaliśmy najprzód fokę i części jej poświętowane pomieściliśmy w bezpiecznym miejscu.

Rzadko widzieć można ludzi szczęśliwszych od nas w tej chwili. Wygodnie wyciągnawszy się w worze do spania, jemy do syta; a jakie pyszne i jakie

soczyste jest mięso foki! W obecnym czasie postąpimy najmądrzej, jeżeli przeczekamy, dopóki ławica nie rozbije się ostatecznie; upolowana zwierzyna posłuży nam za pożywienie.

22 czerwca. Mamy zapasów i opalu więcej niż na miesiąc czasu. Teraz nie potrzebujemy się śpieszyć; możemy odpoczywać, naprawiać kajaki, przygotowywać je do przewozu sani i bagażu i czekać, dopóki ławica nie stanie się możliwą do przebycia.

Niedziela, 23 czerwca. Dziś jest wigilia Św. Jana. Jakaż radość panuje w Norwegii; wszyscy świętują nadejście lata, a my jesteśmy tu samotni na ławicy lodowej, zdala od naszych ukochanych, niepewni naszego losu i zmuszeni żywić się mięsem i słoniną foki.

Po tak długim okresie wstrzemięźliwości możemy teraz jeść często i tyle, ile się nam podoba. Mięso foki jest bardzo smaczne, a tłuszcz jej tak delikatny, że może zastąpić masło. Wczorajsze śniadanie nasze składało się z surowej słoniny, a obiad z pieczeni, godnej ś. p. Vatel'a. Brakowało nam tylko kufła piwa dla obłania takiej wspaniałej uczty. Na kolację mieliśmy naleśniki, przygotowane na krwi foczej.

Johansen z zachwytem przyznał, że nie jadł nigdy w życiu nic równie dobrego.

Przeciwnie, samo przygotowywanie potraw na lampce, podsycanej także tłuszczem foki, nie było zbyt przyjemnem, gdyż ciężki i gryzący dym napętniał cały namiot. Pewnego razu rzecz groziła tragicznym obrotem; zapalił się tłuszcz, a my, aby uniknąć oparzenia, musieliśmy umykać jak najspieszniej.

Niezdługo potem nastąpił wybuch; wszystko naokoło stanęło w ogniu. Z wielkim trudem zdołaliśmy ocalić namiot, nie mogliśmy jednak przeszkodzić, aby ogień nie wyrządził nam szkody poważnej. Gdy już wszystko przyprowadziliśmy do porządku, zapaliłem napowrót lampę, ażeby dokończyć smażenia.

Śniadanie jest o tyle przyjemne, że sprawdziliśmy, iż prąd uniósł nas daleko ku południowi; jesteśmy obecnie pod $81^{\circ} 4'$ szerokości północnej i $57^{\circ} 48'$ długości wschodniej, a zatem w ciągu trzech dni, pod wpływem wiatrów zachodnich i południowo-zachodnich zyskaliśmy 14 mil.

24 czerwca. Datę tę obchodzimy z należąą wystawnością. Dziś wypada dla nas potrójna rocznica: upłynęło 2 lata od czasu, gdy wyjechaliśmy z Norwegii, 100 dni od opuszczenia „Frama“ w końcu jest to święto słońca i lata.

Cały dzień przeznaczamy na odpoczynek, spędzamy go zatem na marzeniach o lepszej przyszłości, która przecież, prędzej lub później, nadejść musi; prócz tego studujemy mapy, snujemy projekty i staramy rozerwać się czytaniem jedynej książki, jaką posiadamy: „Rozpoznawanie czasu.“

W południe dnia następnego wstałem, aby dokonać spostrzeżeń astronomicznych.

Rażące blaskiem słońce świeci na błękitnym niebie; oddawna już nie mieliśmy dnia tak pięknego. Łód skrzy się, jak dyament ołbrzymi. Wielka powierzchnia wody, leżąca przed namiotem, podobna do jeziora górskiego, odbija w czystej wodzie przezroczej krajobraz okolicy całej; nie czuć najmniejszego po-



Wieża lodowa w bliskości „Frama.

wiewu wiatru. Wśród ogólnej radości natury marzę o kraju rodzinnym.

Idąc nabrać wody dla przygotowania wieczery, ujrzałem niedaleko fokę. Skoczyłem do kajaka, gdy jednak znalazłem się na morzu, łódź zaczęła nabierać wody.

Powróciłem natychmiast na brzeg i gdy zacząłem wypompowywać wodę, foka ukazała się tuż koło mnie. Schwyciłem za fuzyę i wystrzeliłem; dobrze wymierzony pocisk powalił zwierzę, a ja natychmiast wskoczyłem do kajaka i rzuciłem harpunem, poczem, bez obawy utracenia foki, popłynąłem w kierunku brzegu. Woda coraz bardziej napływa do mojej łodzi, w krótkim też czasie przemoczony byłem do pasa. Przybiwszy do brzegu, przyciągnąłem fokę aż do namiotu i poćwiartowałem, starając się przytem stracić jak najmniej drogocennej krwi zwierzęcia.

Zmieniwszy odzież i wywiesiwszy zmoczone ubranie, aby je wysuszyć na słońcu, wyciągnąłem się w worze do spania.

Namiot daje nam obecnie dostatecznie ciepłe schronisko. Temperatura w nim jest tak wysoka, że śpimy bez przykrycia.

Po powrocie z opisanego wyżej polowania, zastałem Johansena pogrążonego we śnie tak głębokim, że nie czuł chłodu, chociaż jedną nogę miał gołą i wystawioną na zewnątrz namiotu.

Podług ostatnich spostrzeżeń moich, ławica nie zbacza obecnie na południe, mimo silnych wiatrów północnych. Bardzo być może, iż oparła się o ląd;

przypuszczenie zaś to nie jest nieprawdopodobnem. Jeżeli tak jest, to już blizcy jesteście ładu.

27 czerwca. Dziś w nocy rozszalała się burza gradowa nad ławicą. Śnieg topnieje przy zetknięciu z płótnem, a woda szerokimi strumieniami spływa po namiocie. Jakże wygodnem wydaje się nam nasze schronienie w takiej chwili! Leżąc w ciepłym worze do spania, wyobrażamy sobie, że prąd unosi nas gwałtownie ku zachodowi, gdy tymczasem ławica jest zupełnie bez ruchu. Prawdopodobnie wiatr wschodni popchnie nas w końcu na zachód, a później na południe, mam też nadzieję, że popłyniemy w kierunku kanału, oddzielającego ziemię Franciszka-Józefa od Szpicbergu.

Wewnętrzny wygląd otworów w lodzie zmienił się znacznie. Obszerne jezioro, leżące przed namiotem, zamknęło się prawie zupełnie. Naciski zbliżyły lody do siebie.

W przewidywaniu blizkiego odjazdu, przygotowaliśmy sobie trochę żywności. W pobliżu obozu Johansen odkrył małe zbiorowisko wody słodkiej; nie będziemy teraz potrzebowali topić lodu, mamy bowiem dobrą i zdatną do picia wodę.

Foki nie ukazują się więcej, natomiast przelatuje mnóstwo ptaków, wcale nie bojaźliwych. Dwa z nich porwały nam wczoraj kawał słoniny. Dwa razy strzelaliśmy do nich, a one miłośno to powracały na odległość strzału. Jeżeli nie będziemy mieli grubszej zwierzyny, będziemy polowali na ptactwo.

Czekamy, dopóki śniegi nie stopnieją, a tymczasem przygotowujemy się do wyjazdu.

30 czerwca. Koniec czerwca, a my znajdujemy

się prawie na tem samem miejscu, co w jego początku. Topniejący śnieg pokrywa całą ławicę.

Czas jest prześliczny. Siedzimy koło namiotu i odczuwamy przyjemne wrażenie ciepła.

Przed nami leży ławica, blyszcząca światłem, spokojna, jak gdyby martwa. Lód tylko i lód, wszędzie i zawsze olbrzymia biała pustynia. Z jakąż radością powitamy ciemną plamę na horyzoncie, zwiastującą nam ziemię. Od dwóch miesięcy z żywym niepokojem oczekujemy zjawienia się jej, ale — na próżno.

Środa, 3 lipca. Nie wiem, dlaczego biorę ołówek. Nic przecież nie mam nowego do zapisania. Wiecznie to samo życie jednostajne i ciągła tęsknota za ukochanemi istotami. Wiatr południowy odepchnął nas ku północy; jesteśmy obecnie pod $82^{\circ} 8'$. Wczoraj i onegdaj mieliśmy niezwykle piękną pogodę; na południu widnokrąg bardzo jasny; napróżno szukamy na nim ziemi. Ostatniej nocy padał śnieg, a deszczu ani widać. Śnieg ten tworzy grubą powłokę na warstwie starego śniegu i nie pozwala mu topnieć. Zdaje się, że pod wpływem wiatru otwierają się nowe kanały w ławicy.

Niedziela, 6 lipca. Temperatura dochodzi $+1^{\circ}$. W nocy spadł wreszcie deszcz, tak niecierpliwie oczekiwany i trwa aż do rana. Gdyby podobna ulewa przeciągnęła się co najmniej przez tydzień, ławica oczyściłaby się od grubej warstwy pokrywającego ją śniegu. Próżna to jednak nadzieja, mrozy wnet nastąpią, utworzy się warstwa świeżego lodu, a my będziemy musieli oczekiwać chwili, odpowiedniej do

puszczenia się w drogę. Życie nasze jest zaiste szkołą cierpliwości.

Pracujemy teraz nad uczynieniem kajaków nieprzemakalnemi. Gdy nadejdzie chwila odpowiednia, wszystko powinno być gotawe. Kilka dni temu zabiliśmy jeszcze jednego psa, pozostają nam tylko dwa: Kajfasz i Suggen.

Onegdaj odkryliśmy nagle na widnokręgu ciemną plamę. Chwyciłem za lunetę; znak ten wznosi się ponad najwyższe wzgórza lodowe i ma pozór skały sterczącej wśród śniegów. Zbyt jest wielki, aby mógł być wałem brył lodowych, ciemnych wskutek: nagromadzonego na nich żwiru; nie jest jednak prawdopodobne, żeby to była wyspa. Zbaczamy ciągle, a plama pozostaje wciąż w tem samym położeniu w stosunku do nas. Nazajutrz widzimy ją pod tym samym kątem.

Gdy widnokrąg rozjaśnił się na południu, skierowaliśmy się ku wysokiemu pagórkowi lodowemu, sąsiadującemu z namiotem, w nadziei, że ujrzymy ziemię. Próżne były trudy nasze: wszędzie ten sam biały horyzont. Regularnie codzień sprawdzam stan śniegu w okolicach namiotu i z rozpaczą widzę, że grubość jego nie zmniejsza się wcale. Chwilami powątpiewam, aby mógł zniknąć w tym roku. A gdyby to istotnie się stało, jakże straszne byłoby położenie nasze! Wtedy poczytywalibyśmy sobie za szczęście, gdybyśmy mogli zimować na ziemi Franciszka-Józefa, albo na jakiej innej wyspie. Gdy zajęty byłem tak posępnemi myślami, spadł deszcz, a z nim wróciła nadzieja szybkiego powrotu do kraju. Jakże

rozkoszne będzie tam nasze życie po tylu ciężkich przejściach i zawodach!

Teraz, gdy życie nasze przedstawia więcej interesu, mniej chętnie piszę dziennik, aniżeli poprzednio. Wszystko staje się dla mnie obojętnem, oczekujemy tylko chwili pęknięcia lodów.

Przez cały dzień 6-ty lipca padał deszcz. Dla uświęcenia tego szczęśliwego zdarzenia spożyliśmy na wieczrę trochę surowego tłuszczu fok i po filiżance czekolady. W czasie uczyty Kajfasz zaczął szcze-kać zawzięcie; przypuszczając, że zjawiła się jaka zwierzyna, wysunąłem głowę po za namiot i ujrzałem olbrzymiego niedźwiedzia. Natychmiast wziąłem fuzyę do ręki i podczas gdy zwierzę przyglądało mi się bezmyślnie, posłałem mu kulę w prawe ramię. Niedźwiedź zachwiał się i mimo śmiertelnej rany, począł szybko uciekać. Nim zdołałem wyciągnąć z kieszeni nowy nabój, był już pomiędzy lodowemi wzgórzami. Puścilem się za nim w pogoń. O kilka kroków dalej dwa małe niedźwiedziątka, stojąc na tylnych łapach, przyglądały się matce. Gdy ujrzały mnie, poczęły wszystkie uciekać. Żadna przeszkoda, ani pagórki, ani kanały, nie mogły nas wstrzymać. W każdym innym wypadku uważalibyśmy ten śnieg miękki za niemożliwy do przebycia, ale teraz z szybkością strzały mijamy wszelkie przeszkody, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi.

Jakkolwiek niedźwiedź ciężko był raniony, nie mogłem podążyć za nim. Małe biegną przed matką, jak gdyby wskazywały jej drogę.

Dobiegłszy na szczyt jednego ze wzgórz, dałem ognia; niedźwiedzica padła martwą; małe zawyły za-

łośnie, a ryk ich rozpaczliwy byłby w innych warunkach wzbudził litość, ale ja nie miałem czasu zastanawiać się nad miłością dzieci do swej matki. I znów strzał i znów padło jedno z młodych. Ten niedźwiadek, który pozostał przy życiu, spogląda to na trupa matki, to na trupa brata; boleść jego trudno opisać. Tak go śnać opanował żal, że nie wie, co czynić i tylko żałośliwie rozpacza, zwracając głowę to w tę, to w ową stronę. Zbliżyłem się wtedy do niego i posłałem mu kulę w czaszkę. Teraz rozkroiliśmy trupy trzech zwierząt i wyjąwszy wnętrzności, porabaliśmy je na sztuki. Ciężka to była praca i ukończyliśmy ją zaledwie na drugi dzień.

Obecnie przyszłość nasza jest zapewniona; mamy więcej żywności, aniżeli moglibyśmy jej użyć, a zgłodniałe psy nasze będą mogły najeść się surowego mięsa. Biedne zwierzęta potrzebują tego bardzo. Suggen ma się bardzo niedobrze i obawiam się, czy dożyje do końca wyprawy. Gdy zaprzęgnęliśmy go do sanek dla sprowadzenia zabitych niedźwiedzi do namiotu, zaledwie mógł się utrzymać na nogach i po pewnym czasie musieliśmy go pomieścić na saniach. Gdy się tam znalazł, zaczął wyc przeraźliwie, jak gdyby chcąc zaznaczyć swój wstyd, że go w tak niezwykły sposób przenoszą z miejsca na miejsce. Biedne zwierzęta! Jedno po drugim dotknięte zostaje paraliżem nóg i pada, nie mogąc się następnie podnieść. Na szczęście, Kajfasz jest zdrow zupełnie.

Niedźwiedziątka były olbrzymie. Matka ich miała jeszcze mleko. Ponieważ okres karmienia u tych zwierząt nie trwa dłużej nad 18 miesięcy, musiały

mieć mniej więcej po 1½ roku, były zaś o połowę większe od zabitych zeszłej zimy.

Fakt ten powinienby świadczyć, że niedźwiedzie rodzą w każdym czasie. Żołądek tych zwierząt zawierał kawałki skóry foczej.

15 lipca. Mewa z Ross lata nad nami. Kilka dni temu widziałem jedną taką mewę z czarną opaską na szyi.

17 lipca. Śnieg znikł, więc musimy przygotowywać się do odjazdu. Ażeby zabezpieczyć kajaki od przesiąkania wodą, wysmarowaliśmy je olejem w miejsce farby, następnie urządziliśmy drobiazgowy przegląd bagaży: wszystko, co nie będzie nam niezbędnie potrzebne, pozostawimy na miejscu; porzucamy zatem wór do spania, znaczne zapasy mięsa i słoniny, trzy pyszne skóry niedźwiedzie, część zasobów aptecznych i naczyń kuchennych, rękawice ze skóry wilczej, mokassiny, „ski“ i młotek geologiczny.

Rano i wieczorem jemy mięso niedźwiedzie, pierś jego należy do najsmaczniejszych potraw. Pożywienie to nie spowodowało za sobą żadnych zaburzeń żołądkowych.

19 lipca. Znów widzieliśmy masę mew z Ross. Leciąły z południo-zachodu ku zachodowi. Ciekawą jest rzeczą, z kąd mogły one lecieć w tak znacznej liczbie?

22 lipca. Odjechaliśmy ku południowi. Lód jest zawsze nierówny, ale sanie są lżejsze, a warstwa śniegu mniej gruba; jedziemy przeto dość szybko. W ostatnim dniu ilość śniegu zmniejszyła się do tego stopnia, że nie potrzebujemy używać „ski“, a za-

tem łatwiej możemy przebyć łańcuchy wzgórz lodowych.

ROZDZIAŁ IX.

W i d a ć z i e m i ę!

24 lipca. Widać ziemię! Po raz pierwszy od dwóch lat spostrzegamy coś ciemniejszego, wznoszącego się ponad białym widnokregiem ławicy. Nowe życie zaczyna się teraz dla nas.

Ziemia! od jakże długiego to czasu nadzieja ujrzenia jej męczy głowy nasze! A teraz widać ją, jak zjawisko dalekie, podobne do chmury, gnanej wiatrem.

Oddawna jest już widoczną, nie mogliśmy jednak sprawdzić, czy to istotnie ląd. Wielokrotnie już wydawało mi się, że widzę z obozu dalekie pola śnieżne, wznoszące się ponad jednostajną pustynią lodową. Lecz później, nie mogąc odróżnić w białym, podobnym do atlasu pasie żadnej ciemniejszej plamy, wziąłem to za obłok i zdawało mi się, prawdopodobnie wskutek refleksyi światła, że z każdą chwilą zmienia formę. Niemniej zawsze plama ta widoczną była na tem samym miejscu.

Nadzieja powróciła; lód jest bardzo nierówny i połamany. Na każdym kroku wznoszą się przed nami olbrzymie zwalę brył lodowych, wysokie jak góry, a pomiędzy niemi widać doliny i kanały. Szczęściem, kajaki nasze są w doskonałym stanie i gdy

drogę zamyka nam szczelina wypełniona wodą, spuszcza ją, a po kilku minutach przybywamy na drugą stronę. Wczoraj zrana, gdy postępowaliśmy na czele orszaku, Johansen dojrzał u szczytu wzniesienia lodowego długi pas ciemny. Przypuszczając, że to obłok, nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Nicco dalej dojrzeliliśmy tę samą plamę, a wokół niej jaśniejsze białe pasma. Przez lunetę zacząłem uważnie obserwować to zjawisko. Za pierwszym rzutem oka dojrzałem ku wielkiej radości obszerne pole śniegu, usiane punktami skalistymi. Dalej, na wschodzie, spostrzegłem także łąd, pokryty śniegiem i osłonięty białą gęstą mgłą. Spodziewałem się innego widoku; miałem nadzieję, że zobaczę wysokie szczyty, wznoszące się wśród olśniewających lodowców. Teraz dopiero widzę, jak nierozsądną była ta myśl; w tych szerokościach ziemia może być tylko pokryta śniegiem. Wyspy te wydawały się tak bliskie, że miałem nadzieję przybyć do nich nazajutrz wieczorem. Johansen podzielał nadzieję moją i naglił, aby pośpieszać, przypuszczając, że dziś jeszcze będziemy mogli wylądować. Niestety, 13-cie długich i męczących dni upłynęło, zanim postawiliśmy nogę na ziemi, tak długo i gorąco oczekiwaną! Postanowiliśmy zaznaczyć ten szczęśliwy wypadek prawdziwą uczta Sardanapala. Uraczyliśmy się potrawą z ostatnich kartofli, jakie mieliśmy z sobą, zachowanych specjalnie na tę uroczystość, następnie mieliśmy suszone mięso z niedźwiedzia i z foki, ozory niedźwiedziątek, skórki chleba smażone w tłuszczu i po kawalku czekolady.

24 lipca. Dziś zrana Johansen, idąc po wodę potrzebną do kuchni, wdrapał się na wzniesienie lodo-

we i obejrzał ziemię. Jest daleko bliżej od nas, niż to było wczoraj i z wszelką pewnością przed wieczorem wylądujemy. Na zachodzie spostrzegłem trzecią wyspę, podobną do poprzednich; wydawała się ona na widnokręgu daleko niższą, a zatem leży dalej; była to, jakżeśmy później sprawdzili, Ziemia księcia Rudolfa.

27 lipca. Przez cały dzień wczorajszy i dziś w nocy dał silny wiatr z południo-południo-zachodu; pod wpływem jego zdaje się, że ławica zbacza ku wschodowi i być bardzo może, że miniemy wyspy, do których spodziewaliśmy się jeszcze wczoraj przybić.

Jest nam cokolwiek zimno nocować bez worów do spania. Początkowo próbowaliśmy spać na „ski“ i derach, ale łyżwy drewniane o mało nie połamały nam kości. Wyciągamy się przeto na lodzie, lecz pościel taka nie jest zbyt ciepłą. Będziemy szanowali materace, jeżeli kiedykolwiek przyjdziemy do ich posiadania.

29 lipca. Obsfity deszcz zmusił nas o 3-ej zrana do zatrzymania się w drodze. Dopiero od 9-ciu godzin byliśmy w pochodzie. Zanim wynaleźliśmy odpowiednie miejsce dla rozpięcia namiotu, zostaliśmy przemoczeni do ostatniej nitki. Cały dzień przepędziliśmy na suszeniu odzienia. Później, gdy pod wpływem zmiany wiatru na zachodzie deszcz przestał padać, puściliśmy się znów w drogę. Jeżeli kiedykolwiek przytrafi się podobna slota, będziemy zmuszeni natychmiast zatrzymać się, aby uniknąć przemoczenia; nie mamy więcej ubrań do zmiany, a nie

należy to zaiste do rzeczy przyjemnych spać na lodzie bez suchej nitki na grzbiecie.

30 lipca. Postępujemy nadzwyczaj powoli. Dzisiaj dostałem reumatyzmu w łądźwiach. Potrzebuję całej energii, aby zdołać utrzymać się na nogach. W miejscach trudniejszych do przebycia Johansen pomaga mi ciągnąć sanie.

31 lipca. Ławica jest połamana i niezdatna do podróży. Ustawiczne uderzanie się brył jedna o drugą pogruchołało je, a kanały przepelnione są ostremi okruchami lodu, nie pozwalającemi na spuszczenie kajaków, których pudła zostałyby w jednej chwili uszkodzone. Dla przejścia takich szczelin urządzamy mosty z brył lodowych, albo też używamy je jako tratwy.

Reumatyzm mój nie ustępuje, skutkiem czego taki jestem wycieńczony, że nie mogę zdobyć się na najmniejszy wysiłek. Johansen załatwia wszelkie roboty za mnie i za siebie. Ma o mnie pieczę, jak o najukochańszem swem dziecku, i robi wszystko, aby tylko ulżyć cierpieniom moim.

1 sierpnia. Ławica staje się coraz trudniejszą do przebycia. Na dobitek, wiatr południowy oddalił nas od ziemi. Nie widzimy już wyspy, położonej najdalej na wschodzie.

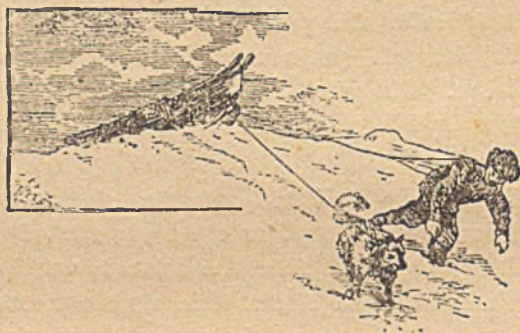
Ciągle widzimy mewy z Ross; ciekawą byłoby rzeczą sprawdzić, czy nie składają one jaj na tych wyspach.

Dzisiaj chodzę daleko lepiej i nie opóźniam pochodu naszego. Choroba moja uwidoczniła mi jeszcze jedno niebezpieczeństwo naszego położenia:

gdyby jeden z nas ciężko zachorował, byłby to koniec naszej wyprawy.

2 sierpnia. Widzę, że nigdy nie dojdziemy do celu. Gdy usuniemy jedną przeszkodę, natychmiast zjawia się druga. Jestem teraz zdrow, lód równiejszy niż wczoraj, zdawałoby się przeto, że moglibyśmy szybko iść ku lądowi, gdy tymczasem wiatr i prąd pędzą nas na pełne morze.

Próżną jest walka z tak potężnymi nieprzyja-

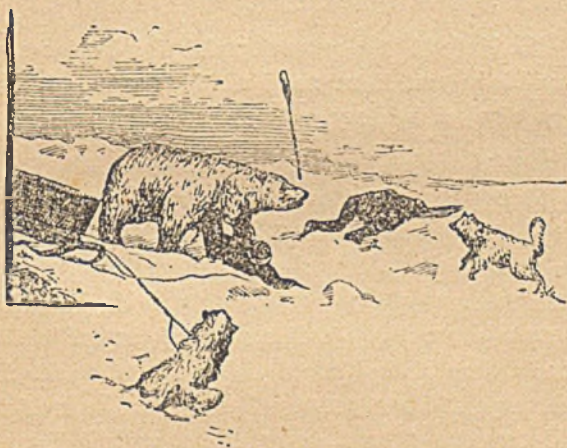


Przeciąganie łodzi przez wyniosłości lodowe.

ciolmi. Obecnie jesteśmy odepchnięci ku południow-schodowi. Północny koniec ziemi znajduje się na zachód od nas. Znajdujemy się pod $81^{\circ} 36'$ sz. pół. Mam nadzieję, że prądy te ustaną i że później zostaniemy odepchnięci ku lądowi. Kanaly są pokryte obecnie świeżym lodem, nie możemy więc na nie spuszczać kajaków. Gdyby jednak wiatry odsunęły nas ku północy, byłby to niechybnie koniec naszej wyprawy.

4 sierpnia. Po kilku godzinach uciążliwego pochodu doszliśmy do kanału, który musimy przebyć w kajakach.

Oczyściwszy brzeg od przylegającego do niego świeżego lodu, podprowadziłem moje sanie. Podczas gdy przytrzymywałem je, aby nie pozwolić im ześlizgnąć się po pochyłości, usłyszałem nagle za sobą



„Nansenie! celuj dobrze!“

potężne sapnięcie, a następnie krzyk Johansena, wracającego w celu poszukania swych sani: „Bierz prędzej fuzyę!“ Odwróciłem się i ujrzałem go leżącego i z trudem broniącego się przed ogromnym niedźwiedziem. Chciałem copędzej porwać za strzelbę, leżącą w futerale na dnie łodzi, gdy kajak wyślizgnął mi się z rąk i obsunął w wodę.

Pierwszą myślą moją było skoczyć do barki

i ztamtąd strzelać do niedźwiedzią. Gdy jednak uprzytomniłem sobie, jak trudno będzie celować ztamtąd, coprędzej doprowadziłem kajak do brzegu, aby wyjąć z niego broń. „Śpiesz się, jeżeli chcesz zdążyć na czas, a nadewszystko celuj dobrze!“ slysze powtórny krzyk Johansena. W końcu dorwałem się do strzelby. Niedźwiedź jest o 2 kroki odemnie. Wycelowałem w ucho i strzeliłem, a olbrzymie zwierzę martwe upadło na ziemię.

Niedźwiedź ten prawdopodobnie, kryjąc się za bryłami lodu, szedł za nami cicho, jak kot, i zbliżył się, gdy zajęci byliśmy odłamywaniem lodu na brzegu kanału.

Idąc poszukiwać swych sani, Johansen ujrzał zwierzę tuż przed sobą. Z początku myślał, że to Suggen, lecz nim zdołał rozpoznać omyłkę, poczuł silne uderzenie w głowę i upadł natychmiast. Zaczęła się wtedy rozpaczliwa walka, towarzysz mój schwytał zwierzę za kark i starał się je przytrzymać. Rozwścieczony takim oporem, niedźwiedź chciał właśnie ująć Johansena zębami, gdy tenże wymówił te pamiętne dla mnie słowa: „Nansenie, celuj dobrze!“ Zwierzę, jak gdyby spodziewało się odemnie czegoś, nie spuszczało mnie z oka, a jednocześnie bronilo się od psów. Dzięki wystąpieniu do walki tych ostatnich, mój towarzysz zdołał się podnieść i uciec do swego kajaku; w chwili tej, gdy strzelałem do niedźwiedzia, Johansen brał już swoją strzelbę do ręki. Z tragicznego tego zdarzenia wyszedł z lekkim zdraśnięciem ręki i kilku szramami na twarzy.

Zaledwie zwierzę, rażone strzałem, upadło, gdy

ujrzeliśmy na przeciwnym wzgórzu dwa niedźwiedziątka, które niespokojnie oczekiwały końca walki.

Jakkolwiek były one dość wielkie, wydawało mi się, że szkoda było strzału, ale inaczej sądził Johansen, który mówił, że mięso młodych było bardzo delikatne i że warto zabić przynajmniej jednego. Puścił się przeto w pogoń za nimi, lecz wkrótce wrócił, nie chcąc tracić drogiego czasu.

Gdy rozcinaliśmy na kawalki naszą zdobycz, niedźwiedziątka powróciły i jęcząc żałośnie, włożyły się dokola naszego obozu.

Nakarmiliśmy psy, połknęliśmy po potężnym kawale surowego mięsa i wyładowawszy kajaki mięsem dopiero co ubitej zwierzyny, puściliśmy się w drogę.

Ławica jest strasznie porozbijana, Co krok spotykamy kanały, wypełnione maleńkimi kawalkami lodu. Wśród tego zbiorowiska drobnych odłamków widać olbrzymią starą bryłę lodu, najeżoną wzgórzami, pomiędzy którymi leżą małe wodozbiory. Ze szczytu jednego z tych wzgórz dojrzałem obszerną powierzchnię wody, leżącą w pobliżu jednego z lodowatych cyplów wyspy. Niedźwiedziątka idą wciąż za nami, przerywając jękami ponure milczenie pustyni.

6 sierpnia. Wczoraj wieczorem w chwili odjazdu wydawało się nam, że cypel wyspy, ku któremu zmierzaliśmy, jest tak blisko, iż zdołamy go osiągnąć tego jeszcze dnia. W tej milej nadziei wyjechaliśmy, z mocnem postanowieniem przewyciężenia wszelkich przeszkód, pomimo, że przygotowani byliśmy na nową porażkę; po 6 miesiącach ustawi-

cznych niepowodzeń poznaliśmy dobrze, jak zwodnicze były wszystkie nasze usiłowania. Pomimo to, że na każdym kroku spotykamy kanały, wypełnione drobnymi odłamkami lodu, łańcuchy wzgórz, wąskie szczeliny, pełne śniegu i wody, idziemy wciąż naprzód. Z biegiem czasu lód staje się równiejszym. Zbliżamy się szybko do celu. Zaprzęgamy się do sani, a chociaż jesteśmy przemoczeni od stóp do głów, nie zważamy na to, pewni, że zwycięstwo czeka nas niezadługo. Oto widać powierzchnię gładkiego lodu. Pośpieszamy, o ile na to siły pozwalają. Ciemna plama, wskazująca na obecność wody, wciąż podnosi się w górę na niebie; jeszcze kilka wysiłków i osiągniemy celu naszego. Ze wszystkich stron widać ślady niedźwiedzi. Widocznie zwierząt tych jest tu bardzo znaczna liczba, przytem nie są one nazbyt dzikie. Ostatniej nocy jedno z nich kręciło się około naszego namiotu, ale my nie możemy obecnie tracić czasu na polowania. Zresztą spiżarnia nasza jest dobrze zaopatrzona.

Nasz rozpaczliwy pochód przywodzi mi na myśl moje wspomnienia szkolne. Morze jest dla nas obecnie jedyną ucieczką, jak ongi 10,000 greków pod dowództwem Xenofonta. I jak niegdyś ci mężni żołnierze, tak i my obecnie nie możemy powstrzymać w piersiach naszych okrzyku: „Morze! morze!” na widok przestrzeni wolnej od lodów wody.

Przed nami widnieje czarna powierzchnia morza, usiana białymi olśniewającymi plamami brył lodowych. Nieco dalej jeden z cyplów ostremi rysami wznosi się po nad ciemną głębią. Skończyły się zatem niepowodzenia nasze, a droga do ojczyzny stoi dla



Pod żaglem na wolnem morzu.

nas otworem! Nie! zaiste, trudno opisać wrażenie, jakiego doznaliśmy na ten widok. Podobnem musiało być ono do uczucia, które ogarnia człowieka, gdy po kilku tygodniach strasznych mąk i obawy o życie powraca do zdrowia.

Natychmiast przystąpiliśmy do zrewidowania kajaków. Przywiązaliśmy jeden do drugiego, a sanie pomieściliśmy na moście, jedno z przodu, drugie z tyłu. Byłoby wygodniej odbyć tę drogę każdemu w swojej łodzi, gdyby nie to, że sanie, mieszcząc się na przodzie kajaków, krępowałyby swobodne poruszanie wiosłami.

Okazało się zbyt mało miejsca, aby zabrać z sobą psy, musieliśmy więc pożegnać się z wiernymi zwierzętami. Zabilem przeto Suggena, psa Johansena, a on mojego Kajfasza. Kajaki lekko i wesoło kołyszą się na morzu. Od dwóch lat nie widzieliśmy tak wielkiej powierzchni wody. Słońce świeci, a mgła, która na chwilę skryła przed nami ziemię, znika, odkrywając cypel lodowy, polyskujący światłem. Najweselszy to ranek, jaki kiedykolwiek przeżyłem w życiu.

Wylądowanie na tej olbrzymiej bryle lodu, zakończonej od strony morza wysoką na 18 — 20-tu metrów spadziścią, jest niemożliwe. Wydaje się, że cypel ten posiada nieznaczny ruch; woda wyłobila u jego podstawy długie sklepienie; górna powierzchnia jest gładka. Prąd biegnie około niego ku zachodowi i unosi nas w tym kierunku. Wieczorem, nie mogąc znaleźć miejsca odpowiedniego dla obozowania na lądzie, rozpinamy namiot na bryle lodowej.

7 sierpnia. Podczas nocy lody zwarły się dookoła nas i nie wiem, w jaki sposób wydostalibyśmy się z tej pulapki, gdybyśmy nie mieli na wschodzie szerokiej powierzchni wolnej wody. Przeciągnąwszy sanie i bagaż po krawędzi ławicy, doszliśmy bez wielkich trudności do morza, a z pomocą kijów i odłamków „ski“ zrobiliśmy wiosła, daleko lepsze od poprzednich bambusowych, które wzięliśmy z sobą z „Frama.“

Mgła jest tak gęsta, że nie widzimy nic przed sobą, ani naokoło siebie, pomimo to jednak odczuliśmy, ale nie spostrzegli, że powierzchnia wody staje się szerszą, aż w końcu wzrasta do rozmiarów szerokiej odnogi morskiej, ciągnącej się równolegle do brzegu. Chłodny północno-północno-wschodni wiatr dmie i podnosi wielkie balwany, spadające na łodzie nasze. Zupełnie przemoczeni, znajdujemy się w położeniu nie należącym do bardzo przyjemnych, wieczorem jednak rozłożyliśmy się obozem na brzegu ławicy; w chwili, gdy rozpięliśmy namiot, zaczął padać deszcz.

8 sierpnia. Puszczamy się w drogę, zaczynając od holowania sani i kajaków po polu lodowem, które podpłynęło nocą i stanęło na naszej drodze. W czasie tego pośliznąłem się i wpadłem do wody; przez cały dzień potem musiałem chodzić w mokrem ubraniu.

Po wielkich wysiłkach dosięgliśmy wreszcie wolnego morza. Nieco dalej przejście jest zamknięte, musimy przeto ciągnąć sanie i kajaki. Wiatr północno-wschodni popchnął lód ku brzegowi. Sądząc z koloru nieba, przychodzę do wniosku, że wolne

morze, przez które płynęliśmy wczoraj, musi być obecnie zabarykadowane lodami. Po obiedzie płyniemy z żaglami. Później ustał wiatr i znów musimy brać się do wiosł, aby móc stawić opór prądowi, który odrzuca nas napowrót.

Mgły nie pozwalają nam dojrzeć lądu. Nie mogłem jeszcze dokładnie zorientować się w naszym położeniu, ale przypuszczam, że znajdujemy się na zachodnim brzegu archipelagu Franciszka-Józefa.

Wdrapaliśmy się na lodową kopułę, przykrywającą wysepkę, około której obozowaliśmy. Gdy doszliśmy do szczytu, mgła znikła i dzięki temu zobaczyliśmy cztery wyspy, które ochrzciłem wspólnem mianem: *Białego kraju*. Położona najdalej na wschodzie, a nazwana, na cześć mojej żony, wyspą Ewy, jest największą. Druga wysepka Liv, imię mej córki, daleko mniejsza, odznacza się dwoma skalistemi ostremi występami — dwoma ciemnymi punktami, które najprzód zauważyliśmy. Na północno-zachodnim brzegu widać szmat ziemi, nie przykryty lodami. Być może, że jest to miejsce, gdzie mewy z Ross, które od dwóch dni widzimy w tak wielkiej liczbie, składają swe jajka.

Na zachód od niego rozciąga się cieśnina, pokryta lodem, a za nią leży trzecia wysepka, Adelaidy, na której obecnie się znajdujemy. Wzdłuż jej brzegów nagromadziły się olbrzymie bryły lodowe, pochodzące ze szczątków lodowców.

Na południe widać czwartą wyspę, daleko większą od wysp Adelaidy i Liv; prawdopodobnie to wyspa Freeden, odkryta przez Juliusza Payera.

Pomiędzy wszystkimi temi wyspami, daleko,

jak okiem dojrzyć, morze pokryte lodem fiordów ¹⁾. W tym kierunku nie widać żadnej ziemi.

Od godziny 3-ej po obiedzie do 8-ej wieczorem płyniemy; później ciągniemy sanie przez pole lodowe, następnie znów żeglujemy, dopóki nie zatrzymuje nas nowa przeszkoda: prąd niepomyślny, który zmusza nas do obozowania.

10 sierpnia. Trochę płyniemy, trochę ciągniemy sanie, później nanowo bierzemy wiosła; cały dzień upływa nam w ten sposób. Spotykamy stado koni morskich, leżących na lodzie. Przy takiej obfitości zwierzyny nie potrzebujemy obawiać się śmierci głodowej. Mając jednak poddostatkiem zapasów żywności, nie tracimy czasu na polowanie.

Widnokrag zasłonięty jest mgłą, która tak jest gęsta, że zapuściliśmy się w otwór ławicy nadbrzeżnej i spostrzegliśmy się dopiero, gdy dopłynęliśmy do jego końca; nieco dalej spotkaliśmy przeciwną prądą. W tym samym czasie morze pokryło się warstwą świeżego lodu, bardzo niebezpiecznego dla kajaków. Postanowiliśmy przeto obozować i czekać do 10-ej godziny wieczorem.

Wszędzie widzimy nadzwyczaj liczne ślady niedźwiedzi. Zdawaćby się mogło, że wszystkie te drapieżne zwierzęta z okolic poblizkich naznaczyły sobie tu miejsce spotkania.

Biały kraj leży teraz za nami, a przed nami prawdopodobnie istnieją inne ziemie.

¹⁾ Lód tabliczkowaty, dość gruby, tworzący się na powierzchniach fiordów i zatok.

11 sierpnia. Jeszcze raz musimy nieść nasze łodzie, poczem płyniemy 4 — 5 godzin.

Od czasu do czasu napadają na nas konie morskie. Badałem właśnie widnokrąg, gdy nagle jedno z tych zwierząt ukazało się w pobliżu nas. Odbywaliśmy dalej bez obawy naszą podróż, gdy potwór wypłynął na powierzchnię morza tuż koło mego kajaku i wynurzywszy się do połowy z wody, zdawał się godzić wbiciem ostrych kłów w pudło statku mego. W chwili, gdy schwycilem za fuzyę, zniknął i zaczął krążyć dokola łodzi Johansena. Kilka razy następnie nurkował i zjawiał się napowrót na powierzchni. Poruszaliśmy szybko wiosłami w nadziei, że go tem przestraszymy i utrzymamy w przyzwoitej odległości. Nagle ukazał się w pobliżu Johansena, wścieklejszy aniżeli przedtem. Towarzysz mój strzelił. Mors ryknął straszliwie, wywrócił się i znikł, pozostawiając za sobą czerwoną smugę krwi. Obawiając się nowego napadu, zaczęliśmy szybciej poruszać wiosłami i dopiero wtedy poczuliśmy się zupełnie bezpieczni, gdy ujrzeliśmy ciało naszego wroga daleko za nami, w miejscu, gdzie został zabity.

Zapomnieliśmy prawie o tym wypadku, gdy nagle ujrzałem Johansena, wyskakującego w powietrze. Przypuszczałem na razie, że potracił gwałtownie jaką bryłę, lecz nie, w pobliżu nie widać wcale lodu, lecz zato ujrzałem konia morskiego. Chwyciłem fuzyę i wystrzeliłem, a olbrzymie zwierzę, śmiertelnie ranione, wypłynęło na powierzchnię wody. Nie bez trudu zdołaliśmy przerznąć jego grubą skórę i wyciąwszy kilka kawalków tłuszczu i mięsa, popłynęliśmy dalej. O 7-ej godzinie wieczorem przyплыw morza

zgromadził wszystkie bryły lodowe na jednym miejscu, przez co zamknął się kanał. Musimy czekać, dopóki odpływ nie uwolni nas od tego oblężenia. Tymczasem zajęliśmy się skróceniem sani, aby móżd pomieścić każde oddzielnie, na kajakach. W ten sposób będziemy w stanie płynąć daleko prędzej.

Podczas gdy byliśmy oddani tej pracy, mgła rozproszyła się. Zobaczyliśmy przed sobą cały łańcuch wysp, ciągnący się od południo-wschodu do północo-północo-zachodu. Wszystkie one pokryte są lodowcami i tylko gdzieniegdzie widać skałę, przerywającą tę białą osłonę. Gdzież więc jesteśmy? Rozwiązanie tego pytania staje się coraz trudniejszym. Być może, że jesteśmy na wschodnim brzegu archipelagu Franciszka Józefa. Wydaje nam się to bardzo prawdopodobnym. W takim razie daleka przestrzeń dzieli nas od przylądka Fligely, na Ziemi księcia Rudolfa. Mgła niknie coraz bardziej i nie możemy oprzeć się chęci wyjaśnienia położenia. Co chwila opuszczamy robotę i wdrapujemy się na otaczające nas wzgórza, aby zbadać widnokrąg.

13 sierpnia. Odpływ morza oczyścił kanał. Płyniemy każdy oddzielnie i posuwamy się szybko naprzód.

Przebyliśmy 5 mil i znów znajdujemy drogę zamkniętą. Poczekamy jeszcze raz do odpływu i zobaczymy, czy kanał nie ciągnie się dalej. Jeżeli nie, będziemy musieli ciągnąć sanie i łodzie w kierunku przejścia, które widać na zachodo-północo-zachodzie, a które, według mapy Payer'a, powinny być cieśniną Rawlisona.

14 sierpnia. Po uciążliwym ciągnięciu sani, ło-

dzi i bagaży przez kawały lodu, poprzecinane kanałami, dochodzimy do powierzchni wolnej wody i możemy płynąć czas jakiś. Wkrótce znów natrafiamy na przeszkodę w postaci zwału brył lodowych.

Następnych dni odbywamy podróż w ten sam sposób, to jest po części ciągnąc bagaże, po części płynąc, a postęp nasz jest bardzo powolny. Sanie, skrócone niedawno, nie mogą posuwać się szybko, a wodę, wolną od lodów, napotykamy coraz rzadziej.

Kilka razy zatrzymaliśmy się, przypuszczając, że odpływ morza przyjdzie nam z pomocą. Próżna nadzieja; lód pozostał nieruszony na miejscu. Wskutek tego postanowiłem skierować się do ziemi najbliższej leżącej. Z tej strony ujrzelśmy górę lodową, największą bryłę, jaką dotychczas widzieliśmy. Wysokość jej wynosiła co najmniej 15—20 m. Spodzielając się mieć ze szczytu tej pływającej góry rozległy widok, próbowałem wdrapać się na nią, wskutek jednak znacznej spadzistości jej boków, musiałem zejść, nie dosięgnąwszy nawet trzeciej części jej wysokości. Wieczorem, goniąc ostatkiem sił, przybiliśmy do wyspy. Pierwszy raz od dwóch lat możemy stąpać po stałej ziemi.

Co za radość przeskakiwać z jednej skały na drugą¹⁾. Wśród kamieni tych odkrywamy nawet rośliny, mianowicie łomikamięń (*Saxifraga nivalis*) i mak (*Papaver nudicaule*). Postanowiliśmy godnie uczcić wzięcie w posiadanie tego podbiegunowego kawałka ziemi; zatknęliśmy przeto chorągiew narodo-

¹⁾ Skały bazaltowe gruboziarniste.

wą na szczycie najwyższej skały i przygotowaliśmy ucztę, złożoną z pemikanu i ostatnich kartofli, jakie posiadaliśmy jeszcze. Wyspa nasza, nazwana wyspą Huen, składa się z brył znacznej wielkości, spoczywających na skałach miejscowej. Są one zaokrąglone, lecz nie wykazują wcale prążkowatości, właściwej kamieniom, przynoszonym przez lodowce; nie mniej skłonny byłbym przypuścić, że jest to zwał morenowy.

Na zachodzie widzimy drugą, nieco wyższą wyspę, której brzegi oznaczone są liniami brzegowymi (strandlinie), a na północy dwie mniejsze.

16 sierpnia. Dziś napotkaliśmy obszerną przestrzeń wolnej wody; powraca nam znów nadzieja ujścia Norwegii. Przeszliśmy ławicę, łączącą wyspę Huen z wyspą Torup, wysoką ziemią, leżącą na zachodzie.

Ta ostatnia wydała mi się jedną z najrozkośniejszych miejscowości w świecie.

Otacza ją płaski brzeg morski, na wzór pasa, za którym widnieje przezroczy ocean, wypełniony mięczakami i zwierzokrzewami, mieszczącymi się wśród całych lasów morskizyny (roślina morska).

Na skałach, wznoszących się przy brzegu, setki nurzyków karłów wesoło szczebiocze, podczas gdy dzwońce i poświerki żałośnie świegocą, przeskakując z kamienia na kamień.

Na brzegu północnym pomieściło się ogromne stado mew (*Larus glaucus*) dla składania jaj. Tysiące ptaków osiadły ze swymi małymi wśród załamów skał. Dla uchwycenia ich ciekawego życia wdrapaliśmy się na górę z aparatem fotograficznym. Po

wycieczce tej puściliśmy się w drogę wzdłuż kanału, leżącego niedaleko brzegu. W wielu miejscach pokrywa go cienka warstwa lodu. Najmniejsze uszkodzenie pudła kajaków byłoby zgubnem dla nas. Opuściliśmy go więc i skierowaliśmy się przez ławicę, ciągnąc łodzie za sobą.

Po wielogodzinnej ciężkiej pracy znaleźliśmy się wreszcie nad brzegami powierzchni wodnej, którą widzieliśmy ze szczytów wyspy Torup. Jak okiem dojrzeć, przed nami morze; wstępuje w nas nadzieja, że już więcej nie zatrzymają nas lody. Na północy widać wysokie brzegi bazaltowe jakiejś wyspy¹⁾, uwieńczone lodowiskami.

Na południu ukazała się druga wyspa, pokryta także lodowcami. W miarę zbliżania się naszego do niej, ogarnia nas wzruszenie, za chwilę los nasz się rozstrzygnie. Na widok olbrzymiej przestrzeni morza, rozciągającego się przed nami, serce zabiło nam z radości. Brzeg wychyla się ku południo-zachodowi. Prawdopodobnie jesteśmy na zachodnim brzegu Ziemi Franciszka Józefa.

Wśród skorupy lodowej, pokrywającej wyspę, wznosi się słup o kształtach fantastycznych, ostry i cienki, jak ostrze noża; jest to skała utworzona z bazaltu pryzmatycznego.

Po pochyłym przejściu, przecinajacem górę, wstąpiliśmy na szczyt spadzistej ściany, aby zbadać okolice południowe wyspy. Nagle usłyszałem po za sobą szelest; odwróciłem się i spostrzegłem dwa lisy,

1) Ziemia księcia Rudolfa.

wydzierające sobie nurzyka; gdy ujrzały nas, porzuciły swą zdobycz i uciekły, każdy w inną stronę.

Wynik badania okazał się bardzo zadowolającym. Morze jest wolne od lodów; przytem wieje pomyślny wiatr. Dlatego też, jakkolwiek zmęczeni, postanowiliśmy nie opuścić tak przychylnych okoliczności; połknęliśmy pośpiesznie wieczerzę i, opatrzywszy kajaki, ruszyliśmy w drogę. Płynęliśmy całą noc i zatrzymaliśmy się obozem dopiero następnego rana. Wiatr ustał; możemy, nie żałując tego, odpocząć cokolwiek.

24 sierpnia. Pisząc po raz ostatni mój dziennik, byłem pełen nadziei i odwagi. Teraz od kilku dni zatrzymała nas niepogoda, a lody skupiły się około brzegów. Odwaga nam jeszcze została, ale znikła nadzieja powrotu do ojczyzny. Już nie wątpimy, że będziemy musieli jeszcze raz zimować w tych stronach podbiegunowych.

W nocy z 17-go na 18-ty sierpnia opuściliśmy nasze ostatnie obozowisko w czasie prześlicznej pogody. Nad słońcem, zakrytem gęstą firanką obłoków, niebo polyskiwało purpurą, a morze, odbijając w sobie te barwy, mieniło się, jak jedno olbrzymie ognisko.

Po gładkiej powierzchni wody kajaki mkną jak strzały. Skierowaliśmy się ku przyładowi Klemens-Markhamu, położonemu na południo-południo-zachodzie, w odległości 12-tu mil, gdy nagle ujrzelśmy przed sobą lody. Przypuszczając, że jest to tylko część większej, rozbitej masy, przyniesiona tu prądem, nie zwracaliśmy na nią uwagi. Lecz w miarę, gdy przybliżaliśmy się, położenie nasze stawało się coraz bar-

dziej groźne. Okazało się, że była to lawica rozległa, której końca nie mogliśmy dojrzeć. Wdrapaliśmy się na wzgórze lodowe, aby odkryć jakiegokolwiek przejście. Widok nie był wcale zachęcający. Przed przylądkiem Klemens-Markham leży szeroki archipelag, wokoło którego zebrała się olbrzymia masa lodów. Widać koło nas kilka przejść, lecz one nie zaprowadziłyby nas daleko. Musimy szukać ratunku, płynąc lub idąc wzdłuż przybrzeżnych lodowisk i szukając w tym kierunku kanału, któryby nam pozwolił odbywać nadal drogę ku południowi.

Podczas gdy wiosłujemy wśród małych brył lodowych, w pudło kajaka mego uderzyło coś gwałtownie. Jeszcze raz jesteśmy napadnięci przez konie morskie. Jedno z tych olbrzymich zwierząt plynie za moją łodzią. Nagle odwraca się, podnosi, jak gdyby miało zamiar rzucić się na kajak Johansena. Ten, obawiając się, aby potwór nie podziurawił mu kłami łodzi, cofnął się, aby mieć czas sięgnąć po strzelbę; ja także coprędzej porwałem moją w rękę. Tymczasem zwierzę dało nurka, przepłynęło pod kajakiem Johansena i ukazało się z tyłu za nim. Towarzysz mój, widząc to i chcąc uniknąć niebezpiecznego sąsiedztwa, skoczył na pobliską bryłę lodową, gotów strzelić w upatrzonym momencie; poszedłem za przykładem kolegi. W chwili, gdy stawiałem nogę na lodzie, pokład załamał się podemną; kilka sekund stałem w kajaku, czyniąc usiłowania w celu utrzymania równowagi. Gdyby potwór zjawił się był wtedy, byłbym niechybnie wpadł w wodę, po kilku jednak desperackich wysiłkach zdołałem dosięgnąć kry.

Przez pewien czas zwierzę nie opuszczało nas,

przepluwając kilkakrotnie pod naszą tratwą lodową. Wobec groźnych jego zamiarów, nie byłoby roztropnie ruszać w drogę. Aby więc nie stracić drogiego czasu, przygotowaliśmy obiad, a zwierzę, przetrzymawszy nas pod dozorem czas jakiś, nagle zniknęło. Dokończyliśmy wtedy obiadu i ruszyliśmy w drogę, zadowoleni, że uniknęliśmy napaści tak niebezpiecznej.

Kanał, ciągnący się wzdłuż ławicy, przylegającej do brzegu, jest niemożliwy do przebycia. Pokrywa go cienki lód, tak niebezpieczny dla kajaków. Niezadługo pod wpływem wiatrów, ławica wkracza do kanału i przecina drogę. Wobec tego zmuszeni jesteśmy oczekiwać zmiany. Z pomocą der i namiotu przyrządziliśmy pościel, a zarazem przygotowaliśmy wszystko do prędkiego odjazdu w nadziei, że niezadługo będziemy mogli puścić się w drogę.

Niestety, położenie nasze nietylko nie polepsza się, ale staje się coraz cięższem: wiatr staje się zimniejszym, a ławica widocznie grubieje. Nigdzie nie widać wolnej wody. Szeroka odnoga morska, po której dopiero co płynęliśmy, pokryta jest lodami. Już chyba w tym roku nie ujrzymy Norwegii, trzeba pożegnać się z tą słodką nadzieją.

Po kilku godzinach odpoczynku próbujemy zbliżyć się do brzegów, ciągnąc po lodzie nasze bagaże, ale napróżno tracimy siły nasze; ławica jeszcze nigdy nie była tak niedogodna do podróży, jak obecnie. Posuwamy się bardzo powoli, a przytem kajaki nasze narażone są na uszkodzenie. Najrozumniej byłoby obozować na naszej bryle lodowej, nie mamy jednak wcale żywności. Jaka szkoda, że nie zabili-

śmy kilku fok, gdy w tak znacznej liczbie ukazywały się oczom naszym.

20-go zrobiliśmy wycieczkę na wyspę. Z przyładka, któremu nadaliśmy imię Helland, na cześć znakomitego geologa norweskiego, rozpoznajemy miejscowość, w myśli osiedlenia się tu, na wypadek, gdybyśmy zmuszeni byli zimować. Łód w pobliżu niego nie do przebycia; bryły nagromadzone jedna przy drugiej aż do samej jej ściany. Później zbadaliśmy kanał, biegnący na północ od przyładka Helland. Z tej strony ławica nie jest tak rozbitą i wygląda na pozór, jak „łód fiordów“, nigdzie jednak nie możemy dojrzeć wolnego wodobioru, gdzie moglibyśmy upolować kilka fok.

Na południe od nas grunt jest stosunkowo równy, usiany skąpymi trawnikami, mchami i kamieniami, mogącymi posłużyć do budowy domku. Zatoką z tej strony pokryta jest grubym lodem; nie widać ani jednego otworu, a zatem niema tu ani jednej foki. Przeciwnie, istnieje wiele śladów niedźwiedzi, które zapewnią nam żywność i odzienie.

Wyspa ta utworzona jest z bazaltu gruboziarnistego. U podstawy lodowca znajduje się wzgórze, ukształtowane z warstw gliniastych, bez śladów skamieniałości. Naokoło widać kilka oddzielnych mas, zdaje się, granitowych. Z każdej z tych skał wzięliśmy próbki, ale w czasie zimowania lisy, mało trzszcące się o całość zbiorów przyrodniczych, porzchwytywały je nam. Wszystkie lodowce na dolnej powierzchni pokryte są „czerwonym śniegiem“, sprawiającym zachwycające efekty, gdy słońce ukazuje się na widnokręgu,

21-go leżałem rozmyślając o naszem, niezbyt przyjemnem położeniu, gdy nagle koło namiotu posłyszałem głuchy odgłos. Początkowo przyszło mi na myśl, że jest on spowodowany naciskiem lodów, ale nie—musi to być jakaś zwierzyna. Spojrzałem przez otwór w namiocie i ujrzałem niedźwiedzia. Zwierzę, przestraszone ruchem płótna, umknęło z początku, później zatrzymało się i spojrzało jeszcze raz na nasze schronisko. Przesunąłem przez otwór lufę strzelby, wymierzyłem i strzeliłem w pierś niedźwiedzia. Upadł, ale natychmiast się podniósł. Strzeliłem powtórnie i tym razem powaliłem go ostatecznie. Na jakiś czas jesteśmy zatem zabezpieczeni od śmierci głodowej.

Ponad obozowiskiem naszym wznosi się wysoka ściana bazaltowa, najeżona kolumnami i igłami, powycinana w arkady i łuki, przypominające katedrę w Milano. Na skałach tych tysiące nurzyków, mew trójpalczastych i mew burmistrzów podnoszą ogłuszającą wrzawę. Pomimo to śpimy wyśmienicie.

Nazajutrz mgły się rozproszyły; na południopółdnie-zachodzie zobaczyliśmy wolne morze. Postanowiliśmy natychmiast korzystać z okazji i pomimo to, że około brzegów zebrały się masy lodu, zdołaliśmy spuścić kajaki na wodę.

Czas jest prześliczny, wszystko zapowiada ładny i pogodny dzień; ale zaledwie ruszyliśmy w drogę, podniósł się silny wiatr południowo-zachodni, morze wezbrało falami, a niebo pokryło się gęstą zasłoną chmur.

Zatoka jest szeroka na kilka mil,

Zanim będziemy mogli wylądować, trzeba przez długie godziny wiosłować energicznie. Zewnętrzny wygląd ziemi nie jest zresztą wcale pojętny. Od dołu do góry pokrywają ją śniegi i tylko w jednym jedynym miejscu wygląda z pod białej opony mały kawałek skały; brzegi jej zresztą nie przedstawiają dostatecznej ochrony przed burzą.

Wskutek tego postanowiliśmy skierować się ku innej wyspie, leżącej nieco dalej, a wydającej się mniej pustą od innych. Zaledwie wylądowaliśmy, spotykamy niedźwiedzia. Johansen celnym wystrzałem pogruchotał mu kość pacierzową. Ranne zwierzę próbowało uciekać, ale tylna część ciała jego, sparaliżowana, odmówiła posłuszeństwa. Zdziwione takim, wcale nieoczekiwanym oporem, przysiadło i poczęło gryźć aż do krwi kończyny tylne. Drugi wystrzał położył koniec jego cierpieniom.

Zdjawszy skórę z niedźwiedzia, poszliśmy zrewidować wyspę. O kilka kroków dalej spostrzegliśmy dwa konie morskie. Widocznie niedźwiedzie nie śmiały ich zaczepiać. Nieco dalej trzeci mors igra w wodzie; zanurzywszy się kilka razy, pod pływa do brzegu i zatrzymuje się, opierając kły na lodzie. Pomimo ciężkich i niezgrabnych ruchów, konie morskie posiadają bardzo dużo instynktu towarzyskiego. W istocie, zawsze widać je w stadach i zawsze leżą jedno obok drugiego. Gdy później powróciliśmy, aby przyrzeć im się bliżej, gromada ich powiększyła się o jednego członka. Nazajutrz liczba ich wzrosła do sześciu sztuk.

Po powrocie zajęliśmy się przygotowaniem obiadu, a po nim położyliśmy się i spaliśmy twardo, po-

mimo ryku koni morskich i wrzasku ptactwa. W czasie nocy zostałem zbudzony szczególnym odgłosem. Zdawało mi się, że słyszę płaczliwe krzyki. Natychmiast wyjrzałem przez otwór w namiocie i spostrzegłem niedźwiedziątka, które węszyły ślady krwi pozostałe na śniegu i wydawały rozpaczliwe jęki. W chwili, gdy brałem strzelbę, ujrzały mnie i uciekły. Pozostawiłem je w spokoju, gdyż mamy aż nadto zapasów żywności.

Nazajutrz stan ławicy zmusił nas jeszcze raz pozostać bez ruchu. Bóg raczy wiedzieć, kiedy skończy się uwięzienie nasze. Tymczasem, staramy się usadowić, jak można najwygodniej. Nie mogliśmy nigdzie znaleźć miejsca, zabezpieczonego od wiatrów, gdzie moglibyśmy rozpiąć namiot. Zbudowaliśmy przeto w zagłębieniu skał chatkę z kamieni.

Pomieszczenie nasze jest wcale wygodne; wprawdzie jest za niskie, abyśmy mogli siedzieć, jest jednak dostatecznie szerokie, tak, że możemy oba leżeć koło siebie, mając przytem obok piecyk. Dach zrobiliśmy z namiotu, rozpostartego na drągach i na „ski,“ a wejście zamykamy za pomocą ubrań naszych. Jakkolwiek chatka ta jest szkaradną dziurą, my jesteśmy dumni z naszego dzieła.

Leżąc na skórkach niedźwiedzich, okryci ciepłymi derami, kołysani cichym szmerem kociołka, odczuwamy niewypowiedziane zadowolenie. Lampa olejna napelnia wkrótce nasze mieszkanie gęstym dymem, ale, bądź co bądź, jest to tylko mała niedogodność.



Nasza chata (31 grudnia 1895 r.).



ROZDZIAŁ X.

Zimowanie na Ziemi Franciszka-Józefa.

28 sierpnia. — Lawica jest ciągle nieruchoma, a jesień szybko postępuje. Musimy się zdecydować zimować na tej wyspie. Przestrzeń więcej niż 138 mil dzieli nas od portu Eira, miejsca zimowania Leigh Smitha. Odległość taka mogłaby być zbyt duża, a nie jestem pewien, czy znalazłbym jaką chatkę w tej miejscowości.

Przypuszczając nawet, że zdążylibyśmy dojść tam, wątpliwem jest, czy mielibyśmy dość czasu przed nadejściem zimy zbudować sobie schronisko i zebrać dostateczne zapasy.

Konie morskie, które wylegiwały się na lodzie wczoraj i onegdaj, uciekły do morza. Musimy przeto szukać ich aż tam. W przewidywaniu wyprawy tej przygotowaliśmy kajaki. Tymczasem nadeszły dwa niedźwiedzie, matka z dzieckiem, a w kilka chwil później położyliśmy je trupem.

Wracając do domu, aby zabrać wielkie noże, potrzebne do poćwiartowania zwierzyny, ujrzelśmy stado gęsi, lecących ku południowi. Jakże bardzo żałowałem, że nie mogę tak łatwo, jak one, przenieść się do rodzinnego kraju.

29 sierpnia. — Urządzamy polowanie na konie morskie. Nie jestem zupełnie pewien wyniku tej walki; zwierzęta te bowiem w obronie swej gotowe po-

dziurawić kłami nasze wątle łodzie. Mimo to musimy zrobić próbę.

Uzbrowwszy się dobrze, skierowaliśmy się ku jednemu z tych zwierząt, leżącemu naprzeciwko nas. Gdy przybyliśmy na odległość strzału, posłaliśmy mu kulę w sam łeb. Potwór pozostał czas jakiś bez ruchu, a następnie rzucił się do wody właśnie w chwili, gdy miałem zamiar cisnąć harpunem, i wijąc się gwałtownie, potracił kilka razy pudła naszych statków. Strzelilem po raz drugi i, gdy się zanurzył powtórnie, zaczęliśmy cofać się, aby uniknąć jego napaści. Za każdym razem, gdy zjawiał się na powierzchni wody, posyłaliśmy mu kulę, ale ani razu nie mogliśmy go trafić śmiertelnie.

W czasie ciągłych ruchów napróżd i wstecz, położyłem na pokładzie strzelbę, aby módz swobodniej wiosłować i zapomniałem, że jest nabita, nagle potraćciłem o coś i broń wypaliła. Przestraszyłem się bardzo; przyszło mi na myśl, że kula mogła przebić pudło i uwięznąć w nodze. Pomacałem ją, ale nie uczułem żadnego bólu, a przytem nie usłyszałem szmeru wody wpadającej do czołna. Kula przeszła tylko przez pokład i przebiła pudło, powyżej linii zanurzenia. Po takim wypadku miałem dosyć polowania.

Nie chcąc jednak porzucić zwierzyny, posłaliśmy jeszcze jeden pocisk za ucho. Zwierzę zostało zabite. Musieliśmy rzucić harpunem, aby je przyciągnąć do brzegu, gdy nagle potwór zatonął. Wróciliśmy wielce zasmuceni tym wypadkiem. Straciliśmy 9 nabojów — oto całkowity rezultat dzisiejszej wyprawy.

Dwa konie morskie leżą, pogrążone w śnie głę-

bokim, w pobliżu naszego domku, na przybrzeżnej ławicy. Przybliżyliśmy się na odległość kilku kroków; strzeliłem i zabiłem jednego z nich. Johansen mniej był szczęśliwy. Druga kula, którą posłałem, nie była skuteczniejsza. Olbrzymie zwierzę podniosło się, wydając straszny ryk, a opierając się na kłach, zaczęło wymiotować krwią, pozostało jednak obojętne, pomimo to, że staliśmy w pobliżu. Jakkolwiek straszne i olbrzymie, biedne zwierzę rzucało na nas tak żałośne spojrzenia, że zapominając o własnych potrzebach, zostaliśmy zdjęci żywym politowaniem. Sumienie wyrzuca nam, że popełniliśmy zabójstwo.

Wystrzałem, wymierzonym w tył głowy, położyłem je na miejscu; wspomnienie tej krwawej sceny prześladowało mnie dni kilka.

Teraz chodzi o to, aby przenieść zwierzynę na ziemię, a praca to niemała.

Gdy poszliśmy po noże, sanki i kajaki, podniósł się silny wiatr. Mógłby oddalić łód od brzegu, powinniśmy zatem mieć statki w pogotowiu.

Podczas gdy byliśmy zajęci ćwiartowaniem zwierza, wybuchnęła burza. Przyglądam się uważnie kanałowi, który oddziela nas od ziemi. Na szczęście ławica pozostaje nieruszona; możemy nadal pracować bez obawy. Jeden koń morski jest już do połowy pokrajany, gdy nagle pole lodowe, na którym się znajdujemy, zaczyna płynąć ku otwartemu morzu. Nie możemy tracić ani minuty. Co prędzej ładujemy mięso w kajaki i opuszczamy resztę zdobyczy.

Początkowo płyniemy na łodziach, później ciągniemy je przez ławicę. Próba ta jednak nie udaje się nam. Chciałem przejść kanał po bryłach lodo-

wych, pływających po nim, ale z wielkim zaledwie trudem zdołałem uniknąć zimnej kąpieli. Musimy się zatem zdecydować spuścić znów kajaki na wodę; są jednak zanadto naładowane, abyśmy mogli płynąć w czasie takiego huraganu. Rzucamy przeto do wody wszystko mięso i skóry, które wzięliśmy z sobą. Tymczasem bryły lodowe zbliżają się ze wszystkich stron i otaczają nas niebezpiecznym kręgiem. Statki nasze mogą być pogruchotane; dla uniknięcia tego wchodzimy napowrót na ławicę. Gdy bryły odsunęły się od nas, spuściliśmy statki, ale mimo szybkości, z jaką uczyniliśmy to, kanał natychmiast zamknął się, a burza tymczasem wciąż odpycha nas na pełne morze. W końcu jednak zdołaliśmy wyjść cało z tak krytycznego położenia. Po wielu daremnych usiłowaniach, znaleźliśmy się wreszcie z łodziami na wodzie i siłą wiosła płyniemy pod wiatr. Ciężka to praca: morze jest bardzo głębokie, a wiatr gwałtowny.

Pomimo to kajaki, dzięki sile, z jaką poruszamy wiosłami, posuwają się naprzód. Nakoniec dopłynęliśmy do brzegu. Wcale nie przywieźliśmy zwierzyny, w dodatku naraziliśmy się na nieprzyjemną awanturę, która mogła pociągnąć za sobą najzgubniejsze skutki—oto bilans całego dnia.

Długo jeszcze bardzo widzieliśmy krę, z leżącymi na niej trupami koni morskich, a nad nimi całe chmary mew. Śmieją się one i z wiatru i z prądu, a zarazem korzystają z nieoczekiwanej okazji.

Następnej nocy, spałem już od jakiegoś czasu, gdy nagle zostałem obudzony przez Johansena. Oznajmił mi, że jakiś niedźwiedź wałęsa się w okolicach namiotu. Wistocie usłyszałem głuche pomrukiwanie;

wyjrzałem na dwór i spostrzegłem niedźwiedzia z dwoma niedźwiedziątkami. Wycelowalem w matkę, ale zanadto się pośpieszyłem i chybiłem. Następny strzał trafił ją w piersi. Pomimo to zwierzę nie przestaje umykać, rzuca się do morza i płynie, a małe wlażyły na bryłę lodu i pchane prądem, uciekają od nas. Niedźwiedzica, wycieńczona upływem krwi, niezadługo zawróciła ku brzegowi. Widząc to, podbiegłem prędko i powaliłem ją celnym strzałem. Następnie czekaliśmy na powrót niedźwiedziątek, ale kra, na której szukały ucieczki, pchana prądem i wiatrem, oddala się coraz bardziej.

Postanowiliśmy tedy zapolować na nie w kajakach. Wy płynęliśmy przeto najprzód na pełne morze, okrążyliśmy bryłę, na której gnane były wiatrem i zawróciwszy, skierowaliśmy się prosto ku nim.

Niedźwiedziątka, ujrawszy to, rzuciły się do morza; popchnęliśmy je ku brzegowi, a gdy wylądowały, zabiłyśmy je bez litości.

Trzy niedźwiedzie jednego dnia! W dodatku, powracając, zobaczyliśmy morsa, którego wczoraj zabiłyśmy, pływającego tuż przy brzegu. Przyciągnęliśmy go coprędzej i pomieścili w otworze ławicy przybrzeżnej.

Zaledwie 2-go września mieliśmy dość czasu, aby poćwiartować zwierzynę.

Na nieszczęście, wszystkie wysiłki nasze, aby ją ciągnąć po brzegu, okazują się niewystarczającami. Podczas gdy zajęci jesteśmy tą pracą, jakiś koń morski, niezmierny naszą obecnością, spokojnie, z wielką godnością zbliża się ku nam.

Czekam cierpliwie, aby mu posłać strzał za

ucho. Jakkolwiek śmiertelnie ranione, zwierzę nie upadło. Na nieszczęście, zabrakło nam naboju, aby je dobić natychmiast.

Johansen pobiegł po proch i kule, a ja tymczasem zwykłym kijem nie dałem uciec potworowi. Gdy towarzysze mój powrócił, dobiliśmy morsa, nie tracąc czasu.

Ciekawa rzecz, z jakiego powodu konie morskie tak często nawiedzają ten wązki kanał. Czyż byłaby to ciekawość, która je tu przyciąga? Kilka dni temu jedno z tych zwierząt krążyło około brzegu. Pograżywszy się kilkakrotnie pod powierzchnię wody, oparło się następnie kłami o lód, aby mogło się nam lepiej przyjrzeć. Nie uciekło, jakkolwiek podszedłem do niego bardzo blisko i dopiero, gdy zbliżyłem lufę strzelby, skryło się pod wodę.

Pokrajanie koni morskich było robotą zarówno trudną, jak nieprzyjemną. Mniejsza z tem, że musieliśmy się zamoczyć, ale co gorzej, nie mogliśmy uniknąć tego, aby tłuszcz, olej i krew nie pokryły nas od stóp do głów. Ubrania nasze, których nie mogliśmy zmienić przed upływem roku, do tego stopnia przesiąkły tłuszczem, że w końcu i ciało nasze zaczęło się nim pokrywać.

Dlatego też bylibyśmy porzucili te zwierzęta, gdyby nie potrzeba pożywienia i światła w czasie zimy. Wielką też była nasza radość, gdy na brzegu wzniosły się dwa wielkie stosy tłuszczu i mięsa, przykryte, dla ochrony, grubymi skórami koni morskich.

Podczas tego mewy w olbrzymiej ilości latają nad nami. Morze pokryte jest kawałkami mięsa i słoniny i odpadkami wnętrzności, a wielkie stada ptaków

około każdego z tych szczątków toczyły z sobą gwałtowne sprzeczki i walki. 7-go września przystąpiliśmy do budowy chaty, która miała dostarczyć nam schronienia na całą zimę.

Odtąd codzień rano wychodziliśmy jak prości robotnicy z miarką pełną wody w jednej, a strzelbą w drugiej ręce. Oddzielamy kamienie od skalistej ściany, wznoszącej się przed nami, przenosimy je, układamy na wybranem miejscu i powoli, z zadowoleniem widzimy, jak mury przyszłego naszego domu zwolna zaczynają piętrzyć się w górę. A do tak poważnej roboty mamy tylko liche narzędzia. Zamiast dźwigni — jedną z łyżew od sani, zamiast motyki — drążek, z nadzianym na niego kawałkiem żelaza i ząb konia morskiego, osadzony w desce; zamiast rydła — łopatkę morsa. Cierpliwością i pracą można dobić się jednak wszystkiego.

Temperatura, zniżająca się prawie codziennie, czyniła pracę naszą tem więcej uciążliwą. Grunt stawał się coraz twardszym, a kamienie mocno były spojone lodem ze skałą; na dobytek złego spadł gęsty śnieg. Zima zbliża się szybkim krokiem. Z nie małą więc radością powitaliśmy 12-go września, po obudzeniu się, zupełną odwilż. Dnia tego termometr podniósł się do $+ 4^{\circ}$, najwyższej temperatury, zauważonej przez nas w czasie całej wyprawy. Wszystkie wzgórza zalane są potokami, płynącemi ku morzu z radosnym szmerem. Woda sączy się i szmerze. Wszędzie zjawiają się plamy zielone. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, natura, dotknięta chłodnym snem śmierci, obudziła się i wre życiem

Marzymy o kraju rodzinnym, nie pomnąc na grożącą nam długą noc zimową.

Niestety, dzień ten tak piękny, tak radosny, pozbawiony jest jutra. Oto śnieg znów zaczyna padać wielkimi i gęstymi płatami i pokrywa grubym a zimnym całunem ziemię, która wczoraj jeszcze drgała życiem. Przyglądam się jej. U nóg moich, wśród kupy kamieni, kilka zwiędłych kwiatów wznosi się jeszcze ponad białą warstwą śniegu. Słońce jeszcze po raz ostatni, zanim zniknie na długo, oświetli was, biedne, delikatne rośliny, później zaśniecie na długą zimę pod grubą białą powłoką, aż do dnia dalekiego, gdy obudzicie się do życia pod ożywczem tchnieniem wiosny. Jeszcze jeden tydzień pracy, a mury naszej chaty będą gotowe. Wznoszą się na 0,9 m. ponad równie głębokiem wydrążeniem w ziemi. Pozostaje nam teraz położyć dach, praca bardzo trudna w takich warunkach, w jakich znajdujemy się obecnie; co się tyczy materiałów, których użyjemy do pokrycia, to mamy tylko jedną belkę, wyłowioną z wody, i skóry koni morskich. Po całym dniu zawziętej pracy Johansen zdołał pociąć tarcicę i zatknąć ją nad murem, gdzie ma tworzyć szczyt domu.

24 września. Dziś zrana, zaczynając robotę, spostrzegliśmy stado koni morskich. Po niemiłych doświadczeniach ostatnich dni nie mamy ochoty mierzyć się z nimi; Johansen jest tego zdania, że należy je pozostawić w spokoju. Ja przeciwnie myślę, że byłoby nieroztropnie opuszczać taką sposobność. Kryjąc się po za wzgórzami, podeszliśmy na odległość 10 m. do stada. Idzie teraz o to, aby wybrać ofiary i celnie wystrzelić. Trzoda składa się ze starych

i młodych. Poprzednie zajście nauczyło nas, że lepiej nie zaczepiać dorosłych zwierząt, decydujemy się przeto zabić najmłodsze. Oczekując, dopóki nie odwróca głowy, abyśmy mogli odrazu śmiertelnie je ugodzić, mamy sposobność przyjrzeć im się dokładnie; wszystkie bez wyjątku drapią się w plecy kłami. Gdy jedno z nich, przeciągając się, potraci towarzysza, podnosi się natychmiast i zagłębia mu kły w plecy. A nie są to wcale delikatne karesy. Te z nich, które mają skórę niezbyt twardą, pokryte są krwawymi bliznami, które świadczą o sile uderzenia. Gdy nowy członek towarzystwa nieproszony zjawi się na lodzie, powstaje ogólne zamieszanie. Podnoszą straszny ryk, a znajdujący się najbliżej intruza stary samiec wymierza mu silny cios. Wobec takiego przyjęcia biedne zwierzę pokornie spuszcza głowę i sadowi się pomiędzy leżącymi na lodzie, przyjmując ciągle nowe razy i nie śmiąc ich odłać.

Znudzeni zbyt długim oczekiwaniem, decydujemy się strzelać w czoło. Zatrwożone wystrzałem, stado podniosło się, spojrzało na nas zdumione i skierowało się ku brzegowi lodowiska. Ani chwili czasu do stracenia, nabijamy przeto strzelby i kładziemy trupem dwa zwierzęta: jedno stare, drugie młode. Na ten widok wszystkie rzuciły się do morza, z wyjątkiem jednego, które pozostało nieruchome. Niepewnym okiem spogląda to na trupy towarzyszków, to na nas, barbarzyńców, którzy przyszliśmy zakłócać im spokój. Czyliż mamy zabić i to biedne zwierzę, czy też pozostawimy je w spokoju? Podczas gdy Johansen mierząc, zbliżał się do niego, zrobiłem zdjęcie fotograficzne tej sceny. W końcu pozostawi-

liśmy morsa w spokoju... ze względu na nieodzowną oszczędność naboju.

Konie morskie, przyprowadzone do wściekłości, rzucają się w wodę, wydając potężne ryki. Jeden ze starych samców jest szczególnie zażarty. Co chwila podnosi się na lodzie, rzuca wzrokiem na trupy towarzyszy, jak gdyby chciał zawładnąć nimi i zabrać je z sobą. Powoli jednak trzoda rozproszyła się. Już od nicjakiego czasu zniknęły zupełnie, gdy nagle głowa starego samca ukazuje się w pobliżu nas. Pogroziłem mu wiosłem i natychmiast znikł pod wodą. Kilka jeszcze razy powracał z wojowniczymi zamiarami; w końcu, zrozumiał bezowocność swej złości, a my mogliśmy spokojnie poćwiartować zdobycz.

Prędko daliśmy sobie radę z młodym morsem, trudniej nam jednak poszło ze starym. Mimo usilnych starań, nie mogliśmy go odwrócić i musieliśmy zadowolić się pokrajaniem go z jednej strony. Dzięki tak szczęśliwemu wynikowi polowania, mamy dosyć materiału palnego na zimę, a skóry koni morskich będziemy mogli użyć do pokrycia dachu.

25 września. Mieliśmy właśnie wyciągać skóry z wody, gdy usłyszeliśmy trzask lodu. Zwróciłem głowę w tę stronę i ujrzałem łeb morsa. — „Ręczę ci — rzekłem do Johansena — że nie upłynie 5-ciu minut, a zwierzę to będzie w dziurze, przy której pracujemy“. Wistocie, zaledwie wymówiłem te słowa, skóra, znajdująca się w otworze, zaczęła się kołysać, a olbrzymia głowa wychyliła się z wody przed nami; popatrzyła na nas kilka chwil i, mruczając, skryła się pod lodem. Ponieważ skóry zmiękły należycie,

rozciągnęliśmy je na belce, stanowiącej szczyt domu, i przymocowaliśmy do ziemi za pomocą ciężkich kamieni. Po ukończeniu dachu pozatykaliśmy szpary kamykami, mchem i obrzynkami skór, a na koniec urządziliśmy wejście. Mieści się ono w jednym z rogów naszego domu, a poprzedzone jest długim korytarzem, wydrążonym w skale, przykrytym kawałami lodu i zasłoniętym skórą niedźwiedzia. Druga skóra, przyszyta do dachu, pełni funkcję drzwi.

Nagle obniżenie się temperatury i gęste chmury dymu, wydawanego przez piecyk, zrobiły niemożliwym dłuższy pobyt w jaskini, w której mieściliśmy się, oczekując wykończenia domu. Dlatego też z niecierpliwością wyglądaliśmy chwili, gdy będziemy mogli przenieść się do nowego, a tak w oczach naszych wygodnego mieszkania.

Pomieszczenie nie było zbyt wielkie. Długość jego nie przekraczała 3, a szerokość 2 metrów. Mieszkanie takie, dobrze zasłonięte od wiatrów, wydawało nam się szczytem komfortu. Od chwili wyjazdu naszego z „Frama,“ to jest od 6-ciu miesięcy, nie mieliśmy sposobności korzystać z takiej wygody. Ale przed zupełnem wykończeniem naszego schroniska mieliśmy jeszcze inną robotę, która nam zajęła kilka dni.

Podczas ćwiartowania koni morskich zabrałem ich nerwy, w nadziei, że kiedyś mogą nam posłużyć zamiast nici. Odzienie nasze podarło się, a ja nosiłem się z myślą naprawienia go w czasie zimy. Niestety, zostawiłem to wszystko przy szkieletach, nie biorąc pod uwagę obecności mew i lisów, które

bez żadnych skrupułów pożarły cały nasz magazyn nici.

Gdy byłem zajęty wyszukiwaniem śladów, w nadziei odnalezienia chociaż części tych zasobów, spostrzegłem Johansena, biegnącego szybko i dającego mi jakieś znaki. Zwróciwszy się w drugą stronę, dojrzałem olbrzymiego niedźwiedzia. Zobaczywszy mnie, przybrał groźną postawę, wkrótce jednak uznał za stosowniejsze uciekać i wszedł na powierzchnię świeżego lodu. Nie mogąc ścigać go tam, strzeliłem, a niedźwiedź, padając, przełamał cienką skorupę i starając się wydobyć z otworu, ruchami swemi powiększył go jeszcze; w końcu, osłabiony utratą krwi, zapadł pod wodę.

Podczas tego polowania co chwila jakiś koń morski wychyla głowę z otworów w lodzie. Zwierzęta te poczynają być zbyt śmiałe. Nieco później, gdy zaczęliśmy ciągnąć do brzegu ciało zabitego niedźwiedzia, zostało ono gwałtownie potrącone. W tej samej sekundzie głowa morsa, odpychając trupa, ukazuje się w otworze. Jest to jeszcze jeden dowód więcej, że potwory te nie czują obawy przed niedźwiedziami. Pomimo to, że przewiązaliśmy sznurem szyję zwierzęcia, nie możemy go przyciągnąć do brzegu. W końcu połamaliśmy lód wokół i dzięki temu zdołaliśmy go podprowadzić do wielkiej bryły, do której został przymocowany. Nasz magazyn, na pełniony zapasami mięsa, przyciąga widocznie wszystkie niedźwiedzie z okolicy. 28 września spostrzegliśmy jednego z nich, śpiącego około naszego składu. Niezwłocznie zabiliśmy go; był to jeden z największych, ale zarazem najniebezpieczniejszych okazów tych zwie-

rząt. Prawdopodobnie pościł od długiego już czasu i zjadł olbrzymią ilość naszego tłuszczu.

Po tylu polowaniach, uwieńczonych szczęśliwym skutkiem, możemy z pełną wiarą spoglądać w przyszłość. Nie potrzebujemy obecnie obawiać się śmierci głodowej.

28 września. Wieczorem wprowadziliśmy się do naszego domu. Dla ogrzania i oświetlenia mieszkania zrobiliśmy z blachy lampy grenlandzkie. Pierwsza noc nie była wcale przyjemną. Dotychczas spaliliśmy zawsze jeden koło drugiego, w tym samym wozie. W nadziei, że lampy dostatecznie ogrzeją nasz apartament, położyliśmy się każdy oddzielnie, przykrywszy się derami. Na nieszczęście, lampy dawały dosyć światła, ale bardzo mało ogrzewały nasze schronienie, tak niedobrze zabezpieczone od zimna, i przez całą noc dzwoniliśmy zębami. Jeszcze nigdy dotychczas zimno nie dało się nam tak we znaki.

Nazajutrz połknęliśmy wielką ilość rosółu z niedźwiedzia, aby przywrócić ciałom naszym chociaż trochę ciepła. Następnie zajęliśmy się przygotowaniem sobie cokolwiek wygodniejszego łoża; doświadczenie poprzedniej nocy odjęło nam ochotę spać oddzielnie. Z dwóch der utworzyliśmy wór do spania i położyliśmy go na miękkich skórkach niedźwiedzich. Nie udaje nam się jednak spłaszczyć ostrych kamieni, stanowiących podściółkę. Nie możemy oderwać ich od gruntu przy pomocy posiadanych narzędzi i przez całą zimę zapewne będziemy musieli przewracać się z boku na bok, szukając próżno gładszego miejsca, aby wyciągnąć zbolące członki. Następnie zajęliśmy się budową pieca. Na zewnątrz wybudo-

waliśmy komin z lodu i śniegu, jedyne go materiału, którym możemy rozporządzić, aby wiatry nie napędzwały nam dymu do wnętrza. Przeciąg dawał wyśmienity, ale potrzebował częstej naprawy. Pod wpływem ciepła topniał i nieraz zamieniał się w rynnę.

Codziennie pożywienie nasze było bardzo jednostajne. Rano jedliśmy rosół i sztukę mięsa z niedźwiedzia, a wieczorem tłuszcz, przetapiany z tego zwierzęcia. Pomimo to nigdy nic nie zostawialiśmy i nigdy nie brakło nam apetytu.

Prawdziwą ucztą były kawalki słoniny z morsów, które paliły się w lampach. Były to nasze ciastka, nasze łakocie, jakieśmy je nazywali. O ileż lepiej smakowałyby nam, gdybyśmy posiadali cukier w proszku.

Trochę zapasów, pozostałych jeszcze z „Frama“, postanowiliśmy zachować do wiosny, ażeby stanowiły pożywienie nasze w czasie oczekującej nas podróży. Dla ochrony od lisów schowaliśmy je pod stosem kamieni

Zwierzęta te, nie krępując się, przywłaszczyły już sobie drążki bambusowe, harpuny, liny, cały zbiór geologiczny; ale największą była dla nas strata kłębka nici, które mieliśmy użyć do naprawy ubrań i roboty obuwia z niedźwiedziej skóry. Na szczęście, uszanowały teodolit i inne instrumenty, prawdopodobnie dlatego, że były zbyt ciężkie, aby mogły ja zabrać z sobą. Chcąc odnaleźć zaginione przedmioty, poszedłem za śladem lisów i któż opisze moje zdumienie, gdy ujrzałem w odległości 6—7 m. przed sobą jedno z tych zwierząt, siedzące spokojnie, jak

gdyby drwiło sobie ze mnie. Na mój widok zaczęło tak przeraźliwie skowyczeć, że musiałem pozatykać sobie uszy, i uciekło dopiero wtedy, gdy zacząłem rzucać kamieniami. Nie umknęło jednak daleko i usiadło na szczycie końcowej ściany lodowca, gdzie napowrót rozpoczęło ogłuszający koncert. Wracając, rozmyślałem, w jaki sposób uwolnić się od tak nieprzyjemnego sąsiedztwa. Nie mogliśmy strzelać do nich, gdyż żalowaliśmy naboju; chcieliśmy urządzić sidła, lecz to się nam nie udało. Gdy zbudowaliśmy łapkę, spadł gęsty śnieg i pokrył ziemię tak grubą warstwą, że przeszkodził nam wyszukać dosyć ciężkich kamieni, któreby zapewniły sidłom skuteczność. A lisy przez całą zimę nie przestawały wyrządzać nam spustoszeń w składach. Jednego dnia pochwytyły samozapisujący termometr. Po długich poszukiwaniach znaleźliśmy go pod grubą warstwą śniegu. Ażeby zabezpieczyć go nadal, położyliśmy go pod ciężkim kamieniem. Nic jednak nie pomogła nawet taka ostrożność, gdyż lisy zdołały zawładnąć nim nanowo, a tym razem, mimo usilnych starań, nie zdołaliśmy go odzyskać!

15 października. Słońce po raz ostatni ukazało się nad widnokrzęciem. Odtąd dni zmniejszają się z przerażającą szybkością, a niezadługo nastąpi noc zimowa.

8 i 20 października. Zabiliśmy dwa niedźwiedzie, ostatnie tej jesieni.

Życie pędzimy bardzo jednostajne. Dnie zaczynamy przygotowaniem śniadania, które spożywamy z apetytem. Później uprawiamy się w rozmaite ćwiczenia cielesne. Wychodziliśmy tylko na

krótko, gdyż odzież nasza jest bardzo zniszczona i mało ochrania nas od zimna.

Marynarki, spodnie i jersey'je przemieniły się w łachmany, nasycone tłustością; początkowo mieliśmy zamiar przygotować sobie ubrania z niedźwiedziej skóry, lecz przedtem musielibyśmy je oczyścić i wysuszyć. Pierwsze skóry, które przygotowaliśmy, były użyte do zrobienia worów do spania. Do tego samego użytku poszły i inne, które mieliśmy czas przygotować podczas zimy, a my i nadal musieliśmy chodzić w podartej odzieży.

Wiatr, prawie zawsze bardzo silny, czynił przechadzki nasze mało przyjemnymi i często przechodziły dnie całe, nim pokazaliśmy się na dworze.

Po południu przygotowywaliśmy obiad, a wieczorem kolację. Napelniwszy żołądki, wsuwaliśmy się w wory do spania i staraliśmy się zasnąć.

Wogóle czas zimowy przeszedł nam dość przyjemnie. Dzięki lampom, rtęć w termometrze utrzymywała się stale nad punktem zamarzania, co dla nas, przywykłych do obozowania przy -40° , było temperaturą wystarczającą. Wilgoć na murach osiadała w postaci białych, błyszczących kryształów; wskutek tego mieliśmy zawsze złudzenie, że śpimy w grocie marmurowej. Miało to jednak i swoje nieprzyjemne strony; gdy bowiem temperatura podnosiła się w domku, całe to pokrycie krystaliczne topniało, a łoża nasze przystaczały się w kałużę. Każdy z nas po kolei przez tydzień pełnił funkcję kucharza. Żadna inna zmiana nie przerywała naszego życia tak jednostajnego, a my rachowaliśmy czas podług zmian tygodniowych. Miałem nadzieję, że w czasie zimy



Odkopywanie „Frama.“

będę mógł przejrzeć swoje notatki i spostrzeżenia i że napiszę sprawozdanie z naszej podróży. Domek nasz nie był wcale wygodnym gabinetem do pracy; światła było mało, a podłoga, najeżona ostremi kamieniami, nie przedstawiała zbyt przyjemnego miejsca do siedzenia. Prócz tego czułem niezwykłą ociążałość głowy i nie miałem chęci wziąć pióra do ręki. W końcu ręce moje pokryte były powłoką tłuszczu, który pokrywał papier czarnymi plamami.

Dziennik mój brzmi w tym okresie zimowania bardzo lakonicznie. Całemi tygodniami leżałem, nie zapisując nic, oprócz spostrzeżeń meteorologicznych. Zresztą życie nasze pozbawione było wydarzeń, godnych zanotowania. Następujące wyjątki z dziennika mego dadzą, być może, pojęcie o jednostajności naszego życia podczas dziewięciu miesięcy zimowych, spędzonych na Ziemi Franciszka-Józefa.

27 listopada. Temperatura spadła do — 23°. Dziś zerwała się burza, a tumany śniegu unoszą się w powietrzu. Ciemna zasłona oddziela nas od światła zamieszkałego. Zaledwie możemy odróżnić czarne odłamy skał, sterczące nad białą oponą śniegową i wysoką ścianą kamienną, wznoszącą się nad głowami naszymi.

3 grudnia. Wieje silny i zimny wiatr. Spacer w takich warunkach nie byłby zbyt przyjemny.

Wieczorem lis porwał żagiel naszego kajaka. Nie mogę zrozumieć, jakim sposobem zwierzę mogło unieść tak wielki kawał grubego płótna, który warstwa lodu w dodatku robiła jeszcze cięższym. Po

długich poszukiwaniach zdołaliśmy go wreszcie od-
szukać.

10 grudnia. Burza. Johansen zauważył, że znikł jego kajak; później odnalazł go w odległości kilkuset kroków nad brzegiem morza. Wiatr porwał go i uniósł aż do tego miejsca. Wydaje mi się to niezwykle, że łodzie nasze latają, jak ptaki w powietrzu.

Przeciwnie, w nocy powietrze jest łagodne i spokojne, a przechadzka w czasie iście wiosennej pogody należy do bardzo przyjemnych. Dla nas nie tylko jest to rozrywką, ale prawdziwą potrzebę tworzy używanie od czasu do czasu ruchu, inaczej wpadlibyśmy w zupełne odrętwienie, na wzór otaczającej nas natury.

19 grudnia. Znowu nastąpiły zimna. Zbliża się Boże Narodzenie. W domu wszyscy są zajęci przygotowaniem świątecznymi; my myślimy tylko o tem, aby jako tako spędzić czas; kociołek szemrze wesoło w piecu. Oczekując śniadania, siedzę przed ogniskiem i, patrząc na płomień, marzę o kraju rodzinnym.

24 grudnia. Temperatura o godzinie 2-iej w nocy wynosi -24° . Co za smutna wigilia Bożego Narodzenia!

Chcąc należycie i solennie obejść ten dzień uroczysty, wymyśliśmy się o ile można było dobrze i przewróciliśmy na drugą stronę naszą bieliznę; mamy takie wrażenie, jak gdybyśmy przyoblekli się w nową skórę. Nazajutrz będziemy mieli na śniadanie czekoladę.

25 grudnia. Czas jest śliczny; niema wcale

wiatru. Na niebie świeci księżyc, a zorza północna, jakby dla uczczenia tego dnia pokoju i radości, rzuca płomienne błyski, piękniejsze od najwspanialszych ogni sztucznych.

31 grudnia. A zatem skończył się już ten rok niezwykły. Zresztą nie był on gorszym od innych.

6 stycznia 1896. Termometr spadł do $-41,5^{\circ}$. Rok 1895 skończył się w czasie pełni księżyca. W czasie takiej samej oślepiającej prawie pełni zaczyna się 1896. Z tem wszystkiem jest strasznie chłodno. W zimie tej jeszcze nie było tak wielkiego mrozu. Odczułem go wczoraj aż nazbyt ciężko, gdyż odmroziłem sobie wszystkie palce.

3 stycznia. Czas jest ciągle śliczny, ale temperatura zawsze niska. Lodowiec ryczy. Olbrzym lodowy pokrywa górę i do samego morza rozciąga, we wszystkich kierunkach, skostniałe członki. Za każdym razem, gdy mróz się powiększy, porusza się ze strasznym łoskotem. Wskutek jego skurczania się, szczeliny otwierają się z hukiem, powietrze drży, a nawet ziemia zdaje się miotać. Chwilami obawiam się, aby to olbrzymie zbiorowisko lodów nie runęło nam na głowy.

8 stycznia. Szaleje straszna burza. Ostatniej nocy wiatr przewrócił sanie, stojące przed domem, na których były zawieszony termometry. Próbujemy spać, ale niestety, usiłowania nasze pozostają bez skutku. Jakże długimi wydają się te noce bez snu, w czasie których przewracamy się z boku na bok, szukając gładszego miejsca dla naszych zboliałych członków!

Straszny mróz ziębi nasze nogi, godzinami

całemi uderzamy jeden drugiego w stopy, nie mogąc ich rozgrzać. A wśród tych cierpień myśli nasze biegną do kraju rodzinnego.

5 lutego. Cierpię na nowy napad reumatyzmu.

Światło powiększa się codziennie; widnokrąg na południu staje się coraz czerwiejszym. Niezadługo zjawi się słońce i minie długa noc zimowa. Zbliża się wiosna. Nieraz już wydawała mi się smutną; bardzo prawdopodobnie dlatego, że przynosiła z sobą obietnice, których nie spełniało lato. Lecz na tej ziemi i przy okolicznościach, wśród których obecnie się znajdujemy, nie będzie już tak posępną i dotrzyma swej obietnicy; los byłby zbyt okrutny, gdyby nie przyniósł z sobą spełnienia naszych nadziei.

Zaiste, oryginalny jest nasz żywot w tej jaskini troglodytów, przy zupełnej bezczynności. Gdybyśmy przynajmniej mieli książki! Jakże rozkoszным wydaje się nam pobyt na „Framie,“ gdzie mieliśmy do rozporządzenia tak bogatą bibliotekę!

Oddawna już wyczerpaliśmy wszelkie przedmioty rozmowy. Największą naszą przyjemnością jest, gdy przedstawiamy sobie w myśli życie, jakie będziemy prowadzili po powrocie do domu, na przyszły rok, wśród wszystkich tych, tak bardzo wygodnych rzeczy, których użytku zapomnieliśmy oddawna.

Według przypuszczeń naszych, „Fram“ powinien dopłynąć na przyszły rok do tego miejsca oceanu Północnego, które leży między Szpicbergiem i Grenlandyą i prawdopodobnie będzie mógł w sierpniu albo we wrześniu powrócić do Norwegii.

Prócz tego zajmuje nas ciągle pytanie, gdzie

się znajdujemy obecnie. Kilka razy sprawdzałem spostrzeżenia swoje, robione od chwili opuszczenia „Frama,” i do żadnego nie doszedłem rezultatu.

Prawdopodobnie musimy być na zachodnim brzegu Ziemi Franciszka Józefa, na północ od przyładka Lofley, na jakiejś wyspie, leżącej pomiędzy tym archipelagiem i Szpicbergiem. Ale morze między tą wyspą i Ziemią Franciszka Józefa jest bardzo wąskie i niema tam miejsca dla większej wyspy, chyba, gdyby sięgała aż do Ziemi Północno-Wschodniej. Otóż tej ostatniej nie zauważyliśmy dotychczas. Zresztą, gdybyśmy się nawet znajdowali w pobliżu Szpicbergu, to jeszcze pozostaje niewytłomaczonym fakt, że nie spotyka się tam mew z Ross, tak licznych w okolicach, w których zimujemy. Im więcej pracuję nad rozwiązaniem tego pytania, tem niezrozumiałszym staje się ono dla mnie. Nieco później, gdy dnie stawały się dłuższymi, dostrzegłem na zachodzie południo-zachodzie oddaloną wyspę, widniejącą na dwóch punktach widnokręgu. Było to dla mnie zupełnie niezrozumiałem, jeżeli bowiem trudno było wynaleźć miejsce wystarczające dla lodów, które odkryliśmy między Szpicbergiem a Ziemią Franciszka Józefa, to już zupełnie niemożliwem dla wyspy, którą dojrzelśmy teraz. Brzeg ten daleki, położony pod 81° szer. półn., nie może także należeć do Ziemi Północno-Wschodniej, gdyż ta ostatnia sięga tylko 80° ; być więc może, że jest to jakaś wyspa, leżąca w pobliżu tej ostatniej. Jeżeli hipoteza ta ma rację bytu, to nie jesteśmy daleko od wolnego morza i wkrótce spotkamy prawdopodobnie myśliwych norweskich, którzy odwiozą nas do kraju.

Codziennie nasze pożywienie nie jest wcale pokarmem stosownym dla smakoszków. Mięso niedźwiedzie i tłuszcz z koni morskich. Ustawiczny brak urozmaicenia stał się w końcu bardzo przykrym. Gdybyśmy mieli przynajmniej trochę cukru i mąki, strawa nasza wydałaby się nam wyśmienitą. Marzymy o sucharach, kartoflach i świeżym chlebie. Na pokładzie statku, który nas przyjmie, znajdziemy czystą odzież i książki. Zmienić ubranie, przyoblec świeżą bieliznę — oto najgorętsze nasze życzenia. Jesteśmy tak brudni i pozbawieni wszelkiej wygody, że zaiste godni jesteśmy pożałowania. Gdy chcemy przepędzić kilka przyjemnych godzin, wyobrażamy sobie, że jesteśmy w wielkim, jasnym, z komfortem urządzonej sklepie, pełnym pysznych ubrań i czystej bielizny, i że możemy wybierać z tego, co tylko chcemy. A potem kąpiel turecka! Leżąc obok siebie w worze do spania, rozmawiamy całymi godzinami o tych rozkoszach, które wydają się dla nas niedoścignionymi. A przecież nadejdzie w końcu dzień ten, tak gorąco oczekiwany, kiedy zrzucimy pokrywające nas potłuszczone łachmany.

Odczuwamy silne bóle, zwłaszcza w nogach. Spodnie za każdym ruchem zdzierają nam skórę z kolan.

Musimy bardzo często przemywać rany ciepłą wodą dla oczyszczenia ich i przeszkodzenia, aby tłuszcz i olej nie dostały się do nich.

Nie mając mydła, nie możemy się myć, gdyż woda sama nie okazuje żadnego wpływu na grubą warstwę tłuszczu, pokrywającą nasze członki. Zamiast tego pocieramy od czasu do czasu ciało nasze

mchem, zmieszonym z piaskiem, i tym sposobem uwalniamy się od brudu, pokrywającego nasze ciało. Lecz jeżeli uwolnienie się od warstwy tłuszczu połączone było z wielką trudnością, to o ileż ciężiej było wyczyścić ubranie! Używaliśmy bez żadnego skutku wszystkich możliwych sposobów prania. Raz próbowaliśmy sposobów używanych przez Eskimosów, jakkolwiek nie było to zbyt przyjemne. Innym razem gotowaliśmy koszule w kociołku. Po kilkogodzinnem oddziaływaniu gorącej wody wyciągnęliśmy je tak samo tłuste, jak były przedtem. Lepiej powiodło się skrobanie nożem.

Broda i włosy urosły nam bardzo; mieliśmy wprawdzie nożyczki, lecz nie przyszło nam na myśl użyć ich do ostrzyżenia się. Całe nasze uwłosienie stało się czarnem, jak węgiel, ale spostrzegliśmy to dopiero, gdy słońce zaczęło ukazywać się na widnokręgu.

Dziwne było zaprawdę to życie nasze! I jakkolwiek często wystawiało ono cierpliwość na ciężką próbę, niemniej nie było wcale tak przykrem, jakby to można było przypuszczać. Dlatego też podczas całego tego okresu zimowania stan nasz moralny był wyśmienity. Dla przepędzenia czasu spaliśmy możliwie długo. Nasz doskonały stan zdrowotny może być najlepszym dowodem, że brak ćwiczeń cielesnych nie bywa powodem skorbutu. Gdy przybyło dnia, a powietrze stało się cieplejszem, zaczęliśmy częściej wychodzić. Ze zbliżeniem się wiosny nie zabraknie nam zajęcia; będziemy robili przygotowania do odjazdu.

25 lutego. Mamy przedsmak wiosny. Czas

jest tak cudowny, że wyszliśmy na przechadzkę; spacerując, widzieliśmy dwa stada nurzyków, lecące z południo-wschodu na północo-zachód. Powoli nikną różowe promienie słońca, a na ciemniejącem niebie wschodzi błyszcząca tarcza księżyca.

29 lutego. 26-go mieliśmy nadzieję ujrzeć słońce; tymczasem niebo pozostało zakryte chmurami. Dziś wspaniała ta gwiazda błyszczy nad lodowiskami.

Musimy oszczędzać tłuszczu, powinniśmy mieć go w ilości dostatecznej w czasie powrotu, czem bowiem palilibyśmy w lampach naszych.

4 marca. Dziś zrana na szczytach skał i lodowcach siedziały wielkie stada nurzyków.

8 marca. Zabiliśmy niedźwiedzia, a był wielki czas po temu, gdyż nasze zapasy żywności i opału zmniejszyły się znacznie. Przypuszczałem, że zwierzęta te wkrótce powrócą, zrobiłem zatem odpowiednie przygotowania, aby je przyjąć, jak się należy. Przyodziałem napowrót surdut płócienny i naprawiłem mokossiny.

Dziś rano Johansen oczyszczał nasz domek i wynosił właśnie na dwór śmiecie, gdy, podnosząc skórę niedźwiedzia, służącą zamiast portyery i przykrywającą wejście do korytarza, ujrzał niedźwiedzia. Nie tracąc czasu powrócił, aby wziąć strzelbę i oznajmić mi tę dobrą nowinę. Tymczasem niedźwiedź, nie zatrzymując się, wszedł w wąskie przejście, zbyt wąskie, ażebyśmy mogli strzelać, ale Johansen wypalił na wszelki przypadek. Zaraz potem usłyszeliśmy głuchoe mruknięcie i trzeszczenie lodu, na który zważyło się ciężkie cielsko zwierzęcia, które, jak się okazało, było tylko skaleczone. Niedźwiedź, podniósłszy

się, zaczął uciekać. Johansen puścił się za nim w po-
goń i jak twierdził, położył go trupem. Udałem się
w kierunku wskazanym przez towarzysza i ujrzałem
niedźwiedzia, biegnącego ku ławicy. Staralem się
przeciąć mu drogę. Zwierzę zawróciło jednak i za-
częło wdzierać się na szczyt lodowca. Zauważyłem,
że idzie tylko na trzech nogach. Nagle straciło ró-
wnowagę i stoczyło się, jak wielki biały kamień na-
dół, gdzie skonało u stóp moich.

Podczas tego wieje tak silny wiatr, że kilkakro-
tnie przypuszczałem, iż będziemy przewróceni jego sil-
nym podmuchem. Szczęściem temperatura była dość
wysoka, gdyż wynosiła tylko 2° poniżej zera.

Ćwiartowanie zajęło nam wiele czasu. Niedź-
wiedź był tak olbrzymi, że jeden człowiek mógł go
zaledwie poruszyć. Naładowawszy sanie mięsem, ru-
szyliśmy wesoło ku domowi. Ciągienie takiego cię-
żaru pod wiatr zmęczyło nas jednak niezadługo i mu-
sieliśmy część zdobyczy pozostawić w kryjówce w ska-
łach. Powróciliśmy bardzo późno w nocy. Już od-
dawna nie użyliśmy tyle ruchu. Polowanie dzisiejsze
zapewniło nam żywności na 6 tygodni.

25 marca. Ciemny kolor nieba świadczy o obe-
cności wolnego morza. Łagodność temperatury ka-
że przypuszczać, że leży ono niedaleko i istnieje od-
dawna.

2 kwietnia. Dziś zabiliśmy znów niedźwiedzia.
Teraz, gdy mamy dostateczną ilość zapasów i opału,
zaczynamy przygotowywać się do odjazdu. Najprzód
zaczęliśmy od sporządzenia sobie nowej odzieży z der-
i skór niedźwiedzich, mianowicie rękawiczek i butów,
a prócz tego worów do spania. Przytem wystrzę-

piając płótno kilku worków, przyszliśmy do posiadania nici. Szyjemy od rana do nocy, bez odpoczynku. Mieszkanie nasze przemieniło się w pracownię szewca i krawca, w której pracując, marzymy o jednym tylko, t. j. o kraju rodzinnym. Utrzymywanie się stale ciemnych plam na niebie bardzo dobrą jest dla nas przepowiednią, każe nam bowiem napewno spodziewać się, że na południu istnieje obszerna powierzchnia wolnego morza i że będziemy zatem mogli na kajakach przebyć znaczną część drogi do Szpicbergu.

Mamy obecnie bardzo częste wizyty ptaków morskich, wskazujących także na obecność wody w sąsiedztwie. Mewy niebieskie (*Larus glaucus*) są teraz bardzo liczne.

Bez najmniejszej obawy siadały na dachu naszego domku i żywiły się odpadkami mięsa i tłuszczu, które znajdowały w okolicy. Podczas całej zimy lisy były przeraźliwie nad naszymi głowami, co nietylko że nas nie niepokoiło, lecz przeciwnie, było bardzo przyjemne, gdyż czyniło samotność naszą nie tak dotkliwą i przypominało nam o obecności istot żyjących. Gdy dzień nastąpił, znikły i pomieściły się na sąsiednich skałach, gdzie obecność niezliczonej ilości nurzyków zapewniała im żywność na długi przeciąg czasu.

Zastąpiły je mewy, lecz nie obdarzyły nas złudzeniem, jakie sprawiały nam lisy. Często podnosiły wrzask tak donośny, że budziły nas ze snu.

3 maja. Odwiedziny niedźwiedzi stają się coraz częstsze; 18 kwietnia widzieliśmy jednego, krążącego wokoło naszego domku. Nazajutrz ujrzeliśmy

Drugiego, a dziś Johansen położył trupem jedno z tych zwierząt. Ostatniej nocy wałęsały się też w pobliżu naszej chaty, lecz uciekły na widok sani, stojących sztorcem przed mieszkaniem naszym, a służących do zawieszania termometrów.

9 maja. Podczas śniadania usłyszeliśmy na dworze kroki niedźwiedzia; obawiając się, aby nie zniszczył nam zapasów tłuszczu, musieliśmy go zabić. Odtąd będziemy gubić te tylko, które będą się dobierały do naszych składów. Mamy dość już zapasów, a należy oszczędzać naboje. Co za wielka szkoda, że nie możemy zabrać z sobą tych pięknych skór.

Godzina odjazdu zbliża się. Ukończywszy naprawę odzieży, z żalem porzuciliśmy stare nasze łachmany, które oddały nam tyle usług. Tak są nasycone tłuszczem, że ważą co najmniej dwa lub trzy razy tyle, ile wynosi ich zwykła waga. Jaka to rozkosz prawdziwa przyodziać nowe spodnie, miękkie i stosunkowo czyste!

16 maja. Ruch gorączkowy panuje w naszej chacie. Pałamy chęcią raz już wreszcie ruszyć w drogę, a przygotowania nasze jeszcze nie są skończone. Gdybyśmy mogli rozporządzać magazynami „Framal“ Tam niczego nam nie brakowało, tu czujemy niedostatek wszystkiego.

Podręcznik do wypraw podbiegunowych tak się wyraża o podróżach w strony północne: „Wyjeżdżając na saniach, należy wziąć zapasy żywności, w najmniejszej możliwie objętości, ale za to urozmaicone, odzież ciepłą, lecz zarazem lekką, i trwałą, a praktyczne pojazdy.“ Wprawdzie przestrzeń, jaką mamy

przebyć, jest stosunkowo mała, niemniej musimy przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

Na początku zimy zakopaliśmy zapasy żywności, pozostałe w niewielkiej ilości z tych, które zabraliśmy z „Frama.“ Gdy odgrzebaliśmy je teraz, jakże nieprzyjemnie zostaliśmy zdziwieni, znalazłszy je zepsute wilgocią. Musieliśmy wyrzucić wszystko, z wyjątkiem nieznacznej ilości rybiego proszku i kilku kawałków zbutwiałego chleba. Aby osuszyć go, a zarazem zrobić pożywniejszym, wygotowaliśmy go w oleju, poczem zrobił się doskonały i w wyjątkowych wypadkach, lub w takich razach, gdy zabrakło nam innej żywności, był dla nas wyśmienitą strawą. Powietrze jest, na nieszczęście, bardzo zimne i wilgotne, nie możemy przeto przygotować suszonego mięsa z niedźwiedzi. Będziemy zatem musieli zabrać z sobą, co tylko zmieści się na sanie.

Naczynia nasze kuchenne bardzo pierwotnej są konstrukcyi, posiadamy tylko jeden garnek, do przewiezienia zaś oleju na opał użyliśmy trzech puszek, które przedtem zawierały w sobie naftę.

Sanie nasze, które niegdyś musieliśmy skrócić, aby je łatwiej było władować na kajaki, są teraz bardzo niewygodne i źle się nadają do przewozu statków, ponieważ te ostatnie środkową tylko częścią leżą na nich, a wolnymi końcami potracają o każdą nierówność gruntu. Jeżeli będziemy mieli nieszczęście trafić na morze ściśnięte lodami, to mogą być uszkodzone. Dla częściowej przynajmniej ochrony obwinęliśmy je skórami niedźwiedzi i podwyższyliśmy cokolwiek siedzenia, aby były mniej narażone na uderzenia o wystające części lodu.

Pozostawało nam jeszcze sporządzić namiot, gdyż ten, który wzięliśmy z sobą z „Frama,“ podarł się, a szczątki jego porozchwytywały lisy. Przyszło nam jednak na myśl, że gdy będziemy mieli obozować, możemy postawić sztorcem nasze sanie, jedne naprzeciwko drugich, na wierzchu położyć kajaki, zebrać naokoło ściany śniegu i przykryć to wszystko żaglami; zapewni to nam niemniej dobre schronisko, jak namiot, a oszczędzimy sobie czasu, potrzebnego na przygotowanie tegoż.

Naboje nasze były, na szczęście, zachowane w wyśmienitym stanie. Przed odjazdem wyczyściliśmy je i napuściliśmy olejem. Pozostało nam jeszcze nieco waseliny, a z jej pomocą będziemy mogli utrzymać broń w należytej czystości. Mamy 100 nabojów z kulami i 150 ze śrótem. Z takim zapasem amunicji moglibyśmy przepędzić jeszcze kilka zim w tych stronach, nie obawiając się śmierci głodowej.

ROZDZIAŁ XI.

Powrót.

19 maja. Skończyliśmy przygotowania i możemy ruszać w drogę. Przed odjazdem zrobiłem fotograficzne zdjęcie naszej chaty i pozostawiłem w niej ogólne sprawozdanie z wyprawy naszej, zamknięte w puszcze metalowej.

Oddawna już straciliśmy wprawę w chodzeniu

i ciągnięciu sani. Dlatego też pierwszego dnia, aby nie męczyć się zanadto, przeszliśmy niewielką przestrzeń.

Nazajutrz także szliśmy tylko kilka godzin, kierując się ku przylądkowi, leżącemu na południo-południo-zachodzie. Przez całą zimę spoglądaliśmy na niego, jak na ziemię obiecaną. Tam przekonamy się wreszcie, gdzie jesteśmy. Tam, stosownie do tego, jakie będzie położenie brzegów, rozpoznamy, czy jesteśmy na archipelagu Franciszka-Józefa, czy też na jakiejś wyspie, leżącej bardziej na zachodzie. Jeżeli ziemia ciągnie się ku południo-wschodowi, to znajdujemy się na północy od przylądka Lofley; jeżeli przeciwnie, kieruje się ku południo-zachodowi, jesteśmy na jakiejś nieznannej dotychczas wyspie, położonej więcej na zachód około ziemi Gillies. Po za tym występem ziemi spodziewam się zresztą napotkać morze, mniej otoczone lodami, a więc posuwać się będziemy daleko szybciej.

Istotnie 21-go maja ze szczytu powyższego przylądka zobaczyliśmy obszerną powierzchnię wolnego morza, a zarazem dwa obszary lądu, oba całkowicie pokryte śniegiem i lodem. Większy z nich leży na S. 40° O.; drugi na S. 85° O. Na nieszczęście, nie mogę dokładnie rozróżnić kierunku brzegu na południe od przylądka, a przeto nie możemy dokładnie obrachować naszego położenia. Jakkolwiek bądź, jesteśmy zadowoleni. Wolne morze nie jest daleko. Niezadługo będziemy mogli spuścić kajaki na wodę i żeglować ku krajowi rodzinnemu. Niestety, życie podróżnika podbiegunowego składa się z samych rozczarowań; nazajutrz zerwała się straszna burza śnie-

zna i zmusiła nas pozostać na miejscu. Podczas gdy przygotowywałem śniadanie, zbliżył się do nas niedźwiedź. Nie mogąc jednak rozpoznać, wskutek nieprzyjaznego dlań wiatru, z kim ma do czynienia, oddalił się spokojnie.

23 maja. Ciągłe panuje brzydka pogoda. Niemniej, chcąc rozpoznać grunt i prędzej zbliżyć się do morza, poszliśmy kawalek naprzód. Potem pokryliśmy pudła kajaków warstwą stearyny, aby zrobić je nieprzemakalnymi. Nazajutrz poszliśmy ku wyspie, leżącej na zachodzie przez ławicę, łączącą ją z lądem. Ponieważ wiatr wiał wschodni, rozpięliśmy żagle nad sankami i w ten sposób mknęliśmy szybko, jak strzała.

Gdy zbliżaliśmy się do lądu, zerwał się wiatr przeciwny, copędzej zdjeliśmy przeto żagle i teraz musimy walczyć z huraganem. W dodatku ławica jest najeżona przeszkodami i poprzecinana szczelinami, które pokrywa zwodnicza warstwa śniegu. Nagle zapadłem w jeden z takich otworów; „ski“ tamowały swobodę mych ruchów i mimo usilnych starań, napróżno sililem się wydobyć; oparłszy się przeto ręką o przeciwległy brzeg, a drugą trzymając silnie kij okuty żelazem, który tkwił głęboko w lodzie, czekam na Johansena. Przeszło kilka minut, a towarzysza mego jak nie widać tak nie widać; krzyknąłem zatem, niema odpowiedzi, a ja zagłębiając się coraz bardziej. Krzyknąłem po raz drugi, i teraz po chwili usłyszałem w dali głos mego towarzysza; woda sięga mi już do piersi. Nareszcie przybywa Johansen i z jego pomocą wydobyłem się z tej szczeliny. Był zajęty zwijaniem żagla i nie dojrzał mojego zniknięcia. W końcu do-

szliśmy do wyspy, gdzie rozłożyliśmy się obozem w miejscu zabezpieczonym od wiatrów. Spotkaliśmy tam liczne stado koni morskich, leżących rzędem nad brzegiem szczelin. Ponieważ mamy poddostatkiem żywności, pozostawiliśmy je w spokoju. Następnego dnia burza zmusiła nas do pozostania na miejscu.

26 maja. Ciągle jeszcze zatrzymują nas burze u stóp lodowca, położonego na północnym brzegu wyspy. Śnieg stopniał i pochód teraz po nim jest niemożliwy.

Zaledwie 28-go możemy znów puścić się w drogę. Wielki wodozbiór otworzył się pomiędzy naszą wyspą a ziemią leżącą na wschodzie. Jest on zupełnie wolny od lodów, prawdopodobnie wskutek prądów, wywołanych wielką głębią.

Ponad nim kilka stad koni morskich leży na lodzie, kryjąc się za wzgórzami lodowemi: posunąłem się ku nim z aparatem fotograficznym. Gdy zbliżyłem się do nich na odległość 6 — 7 metrów, jedna z samic, a za nią młody mors wskoczyły do wody. Pomimo mych krzyków, pozostałe nie ruszyły się z miejsca. Johansen rzuca na nie kulami ze śniegu. Mimo to wszystko olbrzymie zwierzęta pozostają bez ruchu i zabawiają się wachaniem i wgłębianiem kłów w nasze pociski. Skierowałem się tedy prosto ku nim; poruszyły się wszystkie, ale jeden tylko z nich wskoczył do wody i natychmiast potem powrócił na lód. Posunąłem się jeszcze o 3 kroki. Dwa olbrzymie samce podniosły głowę, rzuciły na mnie pogardliwym wzrokiem i znów zasnęły. Zdjąwszy fotografię z tej grupy, odważyłem się polechtać jedno ze zwierząt drutem żelaznym, który trzymałem w ręku.



Nansen walczący z morsem.

Zdawało mi się, że je to wyrwało na chwilę z odętwienia, w którym się znajdowało. Przed odejściem ukłułem najbliższego odemnie potwora; podniósł się, spojrzał na mnie groźnie i ryknął strasznie. Potem najspokojniej w świetle podrapał się i napowrót położył na lodzie. Gdy oddaliliśmy się, wszystkie znów pokładły się na ławicy.

31 maja. Dla prędszego przepędzenia czasu, udałem się na przechadzkę wewnątrz wyspy. Pokryta jest wszędzie warstwami gliny i żwiru. Gęsi pozostawiły tu i owdzie liczne ślady. Gdzieś tam widzę nawet skorupy ich jajek. Dałem przeto tej wyspie imię wyspy Gęsi. Jackson, który ją dojrzał na wiosnę 1895 r., nazwał ją wyspą Maryi Elżbiety i tem imieniem oznaczona jest na naszej mapie.

2 czerwca. Wieczorem wiatr zmniejszył się cokolwiek, a słońce rzuca wesołe promienie, promienie nadziei.

3 czerwca znów jesteśmy w drodze. Wiatr zachodni podpędził lody ku ziemi. Nie widać teraz najmniejszej nawet powierzchni wolnej wody. Musimy nanowo ciągnąć kajaki po ławicy. W jakim-że ona opłakany znajduje się staniu! Wszędzie niezmiernie cienka, połamana i pokryta w dodatku warstwą wody. „Ski“ i sanie zagłębiają się w tej miazdze i tylko kosztem niesłychanych wysiłków zdołaliśmy dojść do przylądka Fisher, urwiska bazaltowego, zamieszkałego przez liczne stada nurzyków. Nieco dalej kolonia ptaków morskich podbiegunowych (*Procellaria glacialis*) wysiaduje jaja na skale bazaltowej.

Spotrzebowaliśmy znaczną część żywności i by-

libyśmy wielce zadowoleni, gdybyśmy spotkali niedźwiedzia; mogliśmy wtedy odświeżyć zapasy spiżarniane; na nieszczęście, zdaje się, że zwierzęta te zniknęły od jakiegoś czasu. Musimy przeto polować na ptaki. Ponieważ nurzyki trzymają się stale w dali od nas, po za obrębem strzału, musieliśmy się zadowolnić dwoma ptakami morskimi (*Procellaria glacialis*), których mięso nie jest zbyt smaczne, zwłaszcza dla ludzi zepsutych wykwintnością, właściwą narodom cywilizowanym. Tymczasem dostrzeżliśmy stado koni morskich. Jak zwykle, leżąc wygodnie na łodzi, nie zwracają na nas najmniejszej uwagi. Zabiliśmy jednego, bez najmniejszej chęci ucieczki z jego strony. Inne nie zwróciły na to najmniejszej uwagi, podniosły tylko głowy i znów zasnęły.

Nie możemy ćwiartować naszej zdobyczy wobec tylu olbrzymich zwierząt. Przedewszystkiem musimy je porozpędzać, gdyż w przeciwnym razie mogłyby nam przyczynić niemało kłopotu. Nie jest to tak łatwa rzecz, jakby się zdawać mogło. Wydamy najrozmaitsze dzikie okrzyki; zwierzęta patrzą tylko na nas ciekawie, lecz nie ruszają się z miejsca. Uderzamy je łyżwami; wpadają wtedy w szalony gniew, uderzają w łód kłami, lecz nie myślą uciekać. W końcu, kłując je i uderzając, jak odporne osły, które chcemy zmusić, aby szły naprzód, zdaliśmy je zapędzić do morza. Zaledwieśmy się wzięli do roboty, gdy konie morskie powróciły. Jeden po drugim, z pomocą kłów, wdrapały się na łód, podnosząc straszne ryki. Nieco później zjawiły się na powierzchni szczeliny, tuż koło nas, i wychyliwszy się do połowy z wody, zaczęły się nam przyglądać, jak

gdyby pytając się o przyczyny naszego postępowania.

Po zrobieniu obfitych zapasów mięsa i tłuszczu, przygotowaliśmy sobie wspaniałą biesiadę: potrawę na krwi konia morskiego, a później puściliśmy się w drogę. Na szczęście, wiatr dał pomyślny, a przeto przez całą noc możemy używać żagli do pomocy przy ciągnięciu sani. W kilka godzin później dotarliśmy do wolnego morza, w pobliżu jakiejś wyspy, pokrytej lodowcami. W jednym lub dwóch punktach widać sterczące ponad niemi skały bazaltowe. Na tych odłamach lodu widać w kilku miejscach moreny.

Na wodach pływają nurzyki i mewy trójpalczaste; nieco dalej dojrzałem stado edredonów. Wobec tak ożywionej natury, odbieramy takie wrażenie, jak gdybyśmy przyjechali do krajów cywilizowanych. W kilka godzin później znajdujemy przejście, zamknięte występem ławicy nadbrzeżnej. Na zachodzie morze jest wolne, rodzi się przeto pytanie, w jakim kierunku postępować dalej? Czy płynąć ku zachodowi do Szpicberga, czy też ku południowi? Rozważwszy wszystkie *pro* i *contra*, zdecydowałem się na ostatnią z tych dróg. Na południe od wysp, które widzimy w oddaleniu, morze jest wolne; być bardzo może, że tam znajdziemy dogodniejszą drogę do Szpicberga.

Rano, 5 czerwca, rozłożyliśmy się obozem na południowym krańcu przylądka Richthofen.

Następnego dnia wieje zimny wiatr, a gęsta mgła rozciągnęła się nad wyspą. Wskutek tego powziąłem myśl posuwania się ku południowi, przez ławicę nadbrzeżną. Rozpięliśmy żagle nad saniami,

przywdziali „ski“ i, trzymając w rękach dyszle pojazdów, pomknęliśmy szybko po jednolitej powierzchni lodu. W ten sposób, pchani wiatrem, przebyliśmy cieśninę, oddzielającą nas od wyspy. 8 czerwca gwałtowna burza zatrzymała nas na środku ławicy i nie możemy rozpoznać, gdzie się znajdujemy, gdyż otacza nas wielka ilość wysp.

Ławica jest daleko cieńszą od tej, jaką spotkaliśmy bardziej na północy, w pobliżu naszego mieszkania zimowego. Prócz tego pokrywa ją gruba warstwa śniegu. Wszystko to są warunki wcale dla nas nieprzychylne. Mimo to 9-go czerwca, dzięki silnemu wiatrowi, zrobiliśmy dobry kawałek drogi.

Następnego dnia stan ławicy jest równie niezadowolający, pomimo tego jednak, ze względu na wiatr pomyślny, mknęliśmy bardzo prędko.

Położenie nasze staje się bardzo ciekawe, dziś bowiem przeszliśmy około 14 mil. Jesteśmy obecnie pod 80° 8' szerokości północnej, a wciąż widzimy nowe ziemie na południu. Jeżeli rozciągają się one bardzo daleko w tym kierunku, nie jesteśmy na archipelagu Franciszka-Józefa, jak to dotychczas przypuszczałem. Na południu linia brzegowa zdaje się uchylać ku wschodowi, a zatem zgadza się z zarysem cieśniny Markhama na mapie Leigh Smitha. Musieliśmy przeto iść dotychczas odnogą morza, która pozostała niezauważoną przez Payera. Długość geograficzna, zanotowana przez nas, nie musi być bardzo błędną. Lecz znów, po pewnem zastanowieniu, przychodzi mi na myśl, że niemożliwem jest, abyśmy przeszli koło lodowca Dove i archipelagu, otaczającego go, nie zwróciwszy na nie uwagi. Musimy znaj-

dować się na jakiejś wyspie, pomiędzy Ziemią Franciszka-Józefa a Szpicbergiem.

Zapasy nasze wyczerpały się prawie zupełnie. Mamy żywności zaledwie na jeden dzień, a na tej ławicy, pozbawionej całkowicie otworów, nie widać ani fok, ani niedźwiedzi, ani ptaków. Jak długo będzie to trwało? Jeżeli nie znajdziemy wkrótce wolnego od lodów wodobioru i nie napotkamy zwierzyzny, to co wtedy stanie się z nami?

12 czerwca. O 4-ej godzinie ruszyliśmy w drogę z żaglami na saniach. Mróz wczorajszy zrobił śnieg twardszym, dlatego też, pchani wiatrem, mamy nadzieję posuwać się szybko i bez zwykłych w tych warunkach trudności.

Poprzedniego dnia mgły się rozproszyły i dozwoliły nam ujrzeć sąsiednie ziemie. Aby osiągnąć południowej kończyny zachodniej części wyspy, musimy pozostawić na uboczu przylądek, leżący na zachodzie. Łądy, widoczne na wschodzie, znikły, a po drugiej stronie widać szeroką cieśninę (cieśnina między wyspami Norhbrook Bruce i Peterhead na ziemi Aleksandry).

Tymczasem wiatr się zmniejszył, a lód staje się nierównym. Znajdujemy się obecnie na ławicy, utworzonej z „drift ice,” to jest z brył o małych wymiarach; przebyć ją jest niezmiernie trudno.

Ciemna barwa nieba wskazuje na bliskość ku południowi wolnej wody. Ku wielkiej naszej radości, usłyszeliśmy szmer bałwanów. Zatrzymaliśmy się o 6-ej godzinie zrana. Ze szczytu wzgórza lodowego, na które wdarłem się, aby zmierzyć długość geogra-

liczną, spostrzegłem w małym oddaleniu powierzchnię wody, ciągnącą się na południo-zachód.

Jakkolwiek wieje wiatr zachodni, mamy nadzieję posuwać się z pomocą żagli wzdłuż ławicy i w tej myśli kierujemy się ku wolnemu morzu. Wkrótce przybyliśmy na brzeg lodu, jesteśmy zatem znów wobec oceanu, pełnego życia i ruchu!

Jaka to rozkosz słyszeć jego pluskanie po tak długim uwięzieniu pod ciężką skorupą lodową. Spuszczamy kajaki, przywiązujemy je do siebie, rozpinamy żagle i dalej w drogę!

Nadzieje nasze nie były płonne, a codziennie znaczne robimy postępy.

Niekiedy wiatr jest tak silny, że fale wznoszą się wysoko ponad łodziami i zalewają je co chwila. Jesteśmy przemoczeni, ale rozgrzewa nas nadzieja prędkiego wybawienia.

Nareszcie jesteśmy na południu od tej wyspy, po której szliśmy tak długo i gdzie przebyliśmy tak ciężką zimę. Pomimo wszystko zdaje mi się, że linia brzegu południowego zgadza się z zarysem Ziemi Franciszka-Józefa, dokonany przez Leigh Smitha. Po uczynieniu tej uwagi przypomniała mi się karta Payera, a wspomnienie to usunęło myśl poprzednią.

Wieczorem wylądowaliśmy na brzeg ławicy, aby wprawić trochę w ruch nogi nasze, obezwładnione długą podróżą w kajakach, oprócz tego zaś pragniemy wejść na wzgórze lodowe, aby wystudyować widnokraj zachodni. Gdzie i jak wszelako przywiązać statki nasze?

— Weź sznur do przywiązywania żagli—mówi Johansen, który już stoi na lodzie.

— Czy tylko wytrzyma on, czy jest dość mocny?—zapytałem.

— Sądzę, że wystarczy, przez cały dzień bowiem utrzymywał żagiel mojego statku.

— Doskonale! — zawołałem—pocóż nam zresztą silnych sznurów dla utrzymania tak lekkich statków?

I przywiązałem je za pomocą tego sznura, zrobionego z rzemieni ze skóry morsa.

Spacerujemy z początku, aby wyprowadzić członki z odrętwienia. Wiatr zmniejszył się i zaczyna zmieniać się na zachodni. Zapytuję siebie, czy będziemy mogli płynąć z jego pomocą?

Dla przekonania się o tem, wdrapaliśmy się na sasiednie wzgórze lodowe.

Gdy badaliśmy widnokraj, Johansen krzyknął nagle:

— Prąd porwał kajaki!

Copędzej tedy biegniemy do brzegu.

Łodzie są już dość daleko od lądu i płyną ku pełnemu morzu.

— Weź mój zegarek—rzekłem do Johansena—i w mgnieniu oka zdejmuję zwierzchnie ubranie i rzucaję się do wody.

Wiatr wiał od strony ziemi i gwałtownie odpychał kajaki. Woda była zimna, jak lód, a ubranie tępowało swobodę ruchów. Łodzie tymczasem wciąż się oddalają. Zdawało mi się rzeczą niemożliwą, abym je zdołał dopędzić.

Lecz wraz z niemi ginęła wszelka nadzieja ratunku, wszystko, co mieliśmy z sobą, ani jeden nóż nawet nie pozostał przy nas. Czy utonę, czy powrócę na brzeg, bez kajaków, rezultat pozostanie ten sam,

Wyteżywszy więc wszystkie siły, popłynąłem dalej. Gdy czuję się zmęczonym, obracam się plecami; w ostatniej pozycji zobaczyłem Johansena, gorączkowo biegającego po brzegu, biedny towarzysz mój nie może spokojnie ustać na miejscu; wydaje mu się strasznie być skazanym na zupełną bezczynność, a niema przytem nadziei, aby mnie się poszczęściło. Opowiadał mi później, że to oczekiwanie było najcięższą chwilą jego życia.

Gdy odwróciłem się, spostrzegłem, że byłem znacznie bliżej kajaków. Dodalo mi to odwagi i podwoiłem swe usiłowania. Na nieszczęście, odrętwienie i nieczulość zaczynają ogarniać moje członki. Wkrótce nie będę mógł nimi poruszać. Odległość nie jest teraz tak wielka i, gdybym tylko mógł wytrzymać chwil kilka, będziemy ocaleni. A więc naprzód! Robię coraz krótsze ruchy rękami; jeszcze jeden wysiłek i dogonię statki! Nakoniec! chwyciłem „ski,“ leżące wpoprzek tyłu łodzi i przypliwam do samych kajaków. Jesteśmy ocaleni. Próbuje wdrapać się na pokład, lecz ciało moje, zdrętwiałe od zimna, odmawia posłuszeństwa. Czas jakiś myślałem, że przybyłem zapóźno.

Po chwili okropnego niepokoju udało mi się założyć nogę na pokład. Z pomocą tego punktu oparcia wdarłem się na pomost. Chwyciłem natychmiast wiosło, ale ciało moje było tak przeziębnięte, że za ledwie zdolny byłem do ruchu; a przytem nie było zbyt łatwo wiosłować na podwójnej łodzi. Kierowanie byłoby łatwiejsze, gdybym był w stanie rozdzielić oba kajaki i wiosłować tylko na jednym, ciągnąc drugi za sobą. Lecz w mojem położeniu skutecznie-

nie takiej pracy było niemożliwe. Zanim byłbym ją wykonał, padłbym bez sił, zupełnie przemarznięty. Wiosłowanie było najlepszym sposobem rozgrzania się.

Tymczasem na przodzie statku spostrzegłem dwa nurzyki. Zwierzyna taka zanadto mnie kusila. Wziąłem strzelbę i za jednym wystrzałem zabiłem oba ptaki.

W końcu, po długiej pracy, dobiłem do brzegu. Prąd uniósł mnie daleko od miejsca, gdzie wylądowaliśmy. Johansen dogonił mnie wkrótce i w kilka chwil później rozłożyliśmy się obozem.

Towarzysz mój rozebrał mnie, wdział na mnie świeżą i suchą odzież, położył w worze do spania i przykrył żaglami, skórami i wszystkim, co tylko znalazł, aby uchronić mnie od przeziębienia.

Drzę z zimna i dzwonię zębami, ale powoli zaczynam się rozgrzewać. Tylko nogi moje, które bez obuwia przebywały w wodzie, pozostały przez długi czas skostniałe i bez czucia. Podczas gdy Johansen rozpinał namiot i przygotowywał zabite przezemnie nurzyki zasnąłem, a gdy się obudziłem, wieczerza była gotowa. Doskonała gorąca zupa i wyśmienite pieczyste wykreśliły z pamięci całą tę smutną awanturę. Podczas nocy wyschło moje ubranie, tak, że nazajutrz mogłem je znów przywdziać.

13 czerwca. Gwałtowność prądu i zupełna cisza zmuszają nas do czekania na powrót odpływu. Później płyniemy prędko przez całą noc.

Nazajutrz rano spotkaliśmy liczne stada koni morskich, leżących na lodzie. Nie mamy więcej żywności, a i materiał opałowy jest prawie zupełnie wyczerpany. Z radością powitalibyśmy niedźwiedzia,

ale od dawnego czasu nie widzieliśmy żadnego. Nie możemy więc ominąć tak dobrej okazji, zapewniającej nam możność zasilenia spiżarni naszej żywnością. Skierowaliśmy się ku jednej z grup tych zwierząt z zamiarem zabicia, jeżeli to okaże się możebnem, kilku młodych, których pojmanie przedstawia daleko mniej niebezpieczeństwa, aniżeli starych. Plan nasz udał się doskonale; wystrzeliłem dwa razy i dwa młode morsy padły martwe. Na odgłos pierwszego strzału całe stado podniosło się zmieszane i rzuciło się do wody. Matki krążą około trupów dzieci, węszą je i potracają, rycząc żałośnie; w końcu i one dążą do morza, popychając przed sobą trupy swych małych. Skoczyłem ku nim, aby zmusić je do pozostawienia zdobyczy; niestety, przybyłem zbyt późno. Obie matki, przyciskając pletwami dzieci do piersi, zniknęły w wodzie. Długo jeszcze pozostałem na łodzi w nadziei, że powrócą na ławicę, lecz nadaremnie; prawdopodobnie popłynęły daleko.

Po tak nieudatnem polowaniu skierowałem się ku następnej grupie. Tym razem, nauczony doświadczeniem, zabiłem i dziecko i matkę.

W tych okolicach zwierzęta te są bardzo liczne; liczba ich dochodziła 300 sztuk.

15 czerwca. O pierwszej, w południe ruszamy w drogę.

Liczne stada koni morskich igrają w morzu. Bezpieczniej jest przeto płynąć nie oddzielnie, ale związać kajaki bokami.

Posuwamy się szybko wzdłuż brzegów; gęsta mgła zakrywa widok i nie pozwala nam zorientować się w miejscowości. Mam przecucie, że jesteśmy

w sąsiedztwie miejsca zimowania Leigh Smitha, na południowym wybrzeżu Ziemi Franciszka-Józefa. Długość geograficzna, kierunek brzegów, układ wysp — wszystko zdaje się wskazywać, że jesteśmy w pobliżu tych łądów.

Zrana nie widzieliśmy zupełnie morsów; przypuszczaliśmy więc, że jesteśmy zupełnie bezpieczni, gdy nagle jeden z nich ukazał się przed nami. Johansen, znajdujący się na przedzie, szuka ratunku za bryłą lodową, płynącą niedaleko od nas. Miałem iść za jego przykładem, gdy potwór rzucił się na mnie, starając się kłami przewrócić mój kajak. Uderzyłem go z całej siły wiosłem w głowę. Pomimo to zwierzę powróciło; chwyciłem strzelbę, lecz w tej samej chwili mors znikł w wodzie. Kontent byłem z tak łatwego sposobu uniknięcia niebezpieczeństwa, gdy nagle poczułem, że nogi moje mokną w wodzie; koń morski przebił pudło mojego statku. Zaledwie zdołałem wyjść na powierzchnię znajdującej się w pobliżu bryły, gdy kajak zaczyna tonąć. Z pomocą Johansena zdołałem go wyciągnąć na lód.

Otwór w pudle wynosi 15 centymetrów; nie jest to więc bagatelą naprawić go, zwłaszcza przy pomocy tak niedokładnych narzędzi, jakie posiadamy.

17 czerwca. Było już po południu, gdy wstałem, aby przygotować śniadanie. Przyniosłem wodę, zapaliłem w piecyku i pokrajałem mięso. Położyłem się potem, aby przeczekać czas, dopóki pożywienie nie będzie gotowe, gdy mgła, która od rana zasłaniała cały krajobraz, zaczęła się rozpraszać. Natychmiast wyszedłem, aby wdrapać się na wzgórze i zbadać okolicę.

Lekki wiatr doniósł do ucha mojego świergot ptactwa. Z rozkoszą słucham tych głosów, zwiastujących obecność istot ożywionych, gdy nagle zdało mi się, że usłyszałem szczekanie. Zadrżałem, nadstawiłem ucha... nie słychać nic, prócz krzyku ptactwa.

Być może, że omyliłem się. Lecz nie, znów słychać szczekanie. Zawołałem Johansena i powiedziałem mu o tem. Otrząsnął się prędko ze snu i poszedł słuchać.

Z początku nie wierzył mi, twierdził, że się łudzę, ale pomimo wszystko, pozostałem przy swoim. Przy śniadaniu rozmawialiśmy, czy wyprawa, która przypuszczalnie przebywa w tych stronach, jest angielską, czy też norweską. Uradziliśmy, że w razie, gdyby to byli Anglicy, pożyczymy od nich zapasów żywności i dalej puścimy się w drogę ku Szpicbergowi.

Po śniadaniu zostawiłem Johansena przy kajakach, a sam poszedłem na zwiady. Teraz nie słyseżę nic oprócz wrzasku mew i przeraźliwego krzyku nurzyków. Kto wie, może Johansen miał słuszość. Prawdopodobnie było to jedno złudzenie więcej. Nagle spostrzegam na śniegu ślady zbyt wielkie, aby mogły być lisiemi; a zatem psy krążyły o kilkaset kroków od naszego obozu. Ale dlaczego nie szczekały? w jaki sposób nie widzieliśmy ich? Zresztą mogą to być zarówno dobrze ślady wilków. Rozmaite dziwne myśli przesuwają mi się po głowie; raz po raz jestem pełen nadziei, to znów zwątpienia. Czyliż nasze cierpienia, nasz niedostatek, nasze prace nadmierne mają się wreszcie skończyć? Wydaje mi się to prawie niemożliwem.

Nagle słyszę szczekanie daleko wyraźniejsze niż przedtem; ze wszystkich stron, prócz tego, widać ślady, które mogą być tylko psiami. Ale potem znów nic, oprócz krzyku ptactwa. Zwątpienie moje powraca. Może to sen tylko; ale nie, ślady na śniegu są widoczne. Jeżeli wyprawa jaka przebywa w tych stronach, nie znajdujemy się na ziemi Gillies lub na jakiejś nowo-odkrytej wyspie, lecz na Ziemi Franciszka-Józefa, jak to początkowo przypuszczałem.

W końcu przybyłem na ziemię i nagle wydało mi się, że słyszę głos ludzki. Serce zabiło mi gwałtownie; wdrapałem się na wzgórze i krzyknąłem. Wkrótce potem słyszę nowy dźwięk głosu i pomiędzy wzgórzami lodowemi dojrzałem jakąś postać ciemną. Jest to pies; później wychyliła się druga — to człowiek; czyliż byłby to Jackson, lub który z jego towarzyszków, albo ktoś z naszych rodaków? Poruszam kapeluszem; on powtarza ten sam ruch. Idziemy naprzeciwko siebie; słyszę, jak wola na psa; jest to Anglik. Przyznam się i zdaje mi się, że poznaję M. Jacksohna, którego widziałem raz tylko i to jeszcze przed odjazdem z kraju.

Uklonilem się. Uścisnęliśmy sobie serdecznie ręce.

Nad nami ciemne zamglone sklepienie, pod nami chropowata ławica, naokoło widok na pokrytą śniegiem i lodem ziemię, a wśród tego z jednej strony Anglik, ubrany elegancko, w wysokich kauczukowych butach, rozsiewający zapach delikatnego mydła, który dokładnie daje się odczuć zaostrzonym zmysłom człowieka pierwotnego; z drugiej człowiek

dziki, o długich włosach i gęstej brodzie, pokryty potem i tłuszczem.

— Jestem bardzo szczęśliwy, że spotykam pana — wyrzekł Jackson.

— Dziękuję! i ja niemniej raduję się z tak szczęśliwego zdarzenia.

— Czy masz pan okręt z sobą?

— Niestety! nie posiadam tu okrętu.

— Iluż was jest?

— Jeden tylko towarzysz, który pozostał na brzegu ławicy.

Tak rozmawiając, skierowaliśmy się ku wybrzeżu. Nagle Jackson zatrzymał się, spojrzął mi w twarz i wykrzyknął.

— Czy nie jesteś pan Fridtjow Nansen?

— Tak, panie! To moje nazwisko.

— Na Jowisza! Teraz tem więcej cieszę się, że spotkałem pana.

I uśmiechając się życzliwie, zaczął mi serdecznie ścisnąć ręce.

— Zkądże pan przybywasz? — zapytał.

Ja zaś odrzekłem:

— Opuściłem „Fram“ pod 84° sz. pół., a następnie pieszo dosięgnąłem 86° 13'. Ztamąd doszliśmy aż do ziemi Franciszka-Józefa, gdzie zimowaliśmy,—a obecnie jesteśmy w drodze do Szpicbergu.

— Bardzo jestem szczęśliwy z tak pomyślnego obrotu rzeczy. Dokonałeś pan wspaniałej podróży, a ja niewypowiedzianie cieszę się z tego, że pierwszy mogłem pana powitać.

Nie mogłem być przyjęty życzliwiej; w uścisku

ręki poczułem coś więcej ponad zwykłą formę grzeczności.

Następnie Jackson ofiarował mi gościnność na stacyi, gdzie przebywał, oznajmił, że z dnia na dzień oczekuje przybycia okrętu, który ma przywieźć nowe zapasy żywności dla członków jego wyprawy.

Bezpośrednio po tem zaproponował mi, abyśmy poszli odszukać Johansena, na co ja odrzekłem, że ciągnięcie sani i kajaków będzie zbyt ciężkiem dla nas, jeżeli zatem ma ludzi do usługi, niechaj im poleci załatwienie tej roboty. Tymczasem możemy wystrzelić parę razy, aby uprzedzić Johansena.

Wkrótce potem spotkaliśmy pozostałych członków wyprawy. Gdy cały personel ekspedycyi zebrał się, Jackson oznajmił im, że dotarłem do 86° 13'. Trzy głośne „hurra!“ były odpowiedzią na tę nowinę. Następnie wysłano ludzi, którzy mieli odszukać i przyprowadzić Johansena, a ja skierowałem się ku stacyi angielskiej, zbudowanej na przylądku Flora.

Jackson oświadczył mi, że ma listy dla mnie i że miał je z sobą w czasie wyprawy, którą przedsiębrał na północ, w nadziei, że się ze mną kiedyś spotka. W marcu zeszłego roku dosięgnął przylądka Richthofen, leżącego o 35 mil od miejsca, w którym zimowaliśmy.

Dopiero, gdy zbliżyliśmy się do stacyi, mój nowy przyjaciel zaczął mnie wypytywać o losy „Frama“ i o ostateczny wynik naszej wyprawy. W kilku słowach opowiedziałem mu podróż naszą przez ocean Północny. Powiedział mi później, że w pierwszej chwili, gdy mnie zobaczył, przypuszczał, że spotkała nas katastrofa; myślał, że okręt nasz został roz-

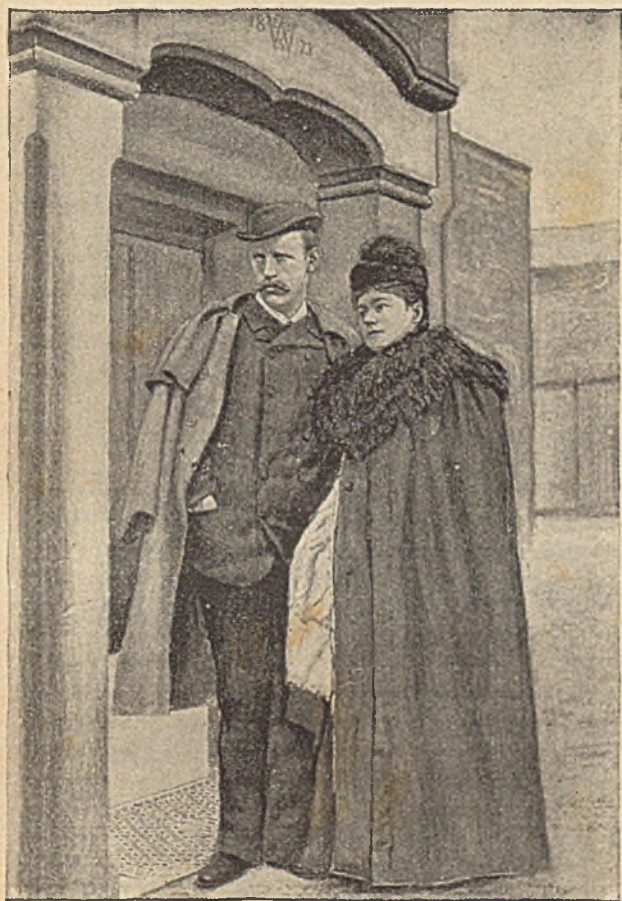
bity i że my tylko dwaj ocaleliśmy z całej załogi. Gdy następnie spostrzegł, że się zapewne omylił, zaczął nas wypytywać o losy naszej wyprawy.

Rozmawiając tak, doszliśmy do Elmwood, mieszkania zajmowanego przez członków wyprawy Jacksona, niskiego domku rosyjskiego, z drzewa, zbudowanego u stóp góry, na wysokości 16-tu metrów nad poziomem morza. Niedaleko wznoszą się stajnie i 4 wielkie budynki, pełniące funkcję składów.

Wchodzimy do ciepłego gniazdka, ginącego wśród głuchej samotności. Sufit i mury obite zielonym sukniem, na ścianach pozawieszane fotografie i światłodruki. W kątach stoją szafki z książkami i instrumentami naukowymi; ubranie i obuwie wisi u sufitu, a w środku tego z komfortem urządzonego pokoju pali się ogień w piecu. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej znikły wszystkie obawy moje, cała odpowiedzialność, ciężąca na mnie od lat trzech. Teraz mogę czekać i odpoczywać.

Jackson, naczelnik wyprawy, wręczył mi starannie zapieczętowaną szkatułkę; zawiera ona listy z Norwegii. Ręce mi drżą, a serce skacze w pierśsiach, gdy je otwieram. Same dobre wiadomości; ogarnęło mnie słodkie uczucie spokoju. Podano obiad. Chleb, masło, mleko, cukier, kawa—wszystko rzeczy, których smak zatraciliśmy zupełnie. Lecz najwyższej rozkoszy, właściwej światu cywilizowanemu, doznaliśmy, gdy zrzuciliśmy łachmany i wzięli kąpiel.

Przywdziawszy następnie świeżą bieliznę i ubranie, obciąwszy włosy i brodę, dokonaliśmy na sobie zupełnej przemiany z dzikich na europejczyków.



Nansen z żoną.

Wkrótce nadszedł Johansen, prowadzony przez kilku członków wyprawy.

Gdy Anglicy spotkali go, powitali go potrójnem „hurra“ i, zaprząglszy się do sani, ciągnęli je aż do stacyi.

Johansen jest niemniej serdecznie przyjmowany odemnie. I on także przeszedł przez te same przemiany, co i ja. Nie mogłem go potem poznać. Troglodyta, pokryty potem i tłuszczem, ustąpił miejsca eleganckiemu europejczykowi, palącemu cygaro i wygodnie leżącemu na kanapie.

Wydaje mi się, że tyję codziennie więcej. Zresztą waga nasza od chwili odjazdu z „Frama“ znacznie się powiększyła. Przez 15 miesięcy przybyło mi 10 kg., a Johansenowi nieco więcej niż 6.

Zawdzięczamy tak wysoce zadowalające rezultaty przeważnie, przypuszczam, pożywieniu, składającemu się tylko z mięsa i tłuszczu.

Żyjemy dobrze i wygodnie, oczekując przybycia okrętu, a dla skrócenia tego niezbyt przyjemnego czasu nowi przyjaciele zasypują nas formalnie grzecznościami i staraniami. Nigdy nie zdołam dostatecznie wychwalić się ich serdecznej gościnności. Nie mogę zrozumieć, czy to nasze bezwzględne odosobnienie, czy też zmysł solidarności, wrodzony człowiekowi, popchnął nas do zawarcia tak ścisłej znajomości; nie wiem dlaczego, ale nigdy najdłuższe rozmowy nie nudzą nas, i odbieramy takie wrażenie, jak gdybyśmy od lat wielu byli przyjaciółmi, podczas gdy kilka dni temu nie znaliśmy się wzajemnie.

Zaraz po przybyciu na przylądek Flora po-

równałem zegarki nasze z chronometrami wyprawy angielskiej. Błąd wynosi 26 minut, co odpowiada różnicy 6° 5' długości. Upewniwszy się o tem, mogę obrachować spostrzeżenia moje, tyjące się długości geograficznej. Potem nakreśliłem, według obliczeń moich, mapę ziemi Franciszka-Józefa, którą następnie porównałem z taką mapą Jacksona.

Później, gdy spostrzeżenia moje sprawdzą się dokładniej, postaram się ją wydać; obecnie chciałbym tylko zwrócić uwagę czytelników na podział ziemi Franciszka-Józefa, składającej się z drobnych wysepek, i na zupełny brak w tamtych stronach jakiegokolwiek kontynentu. Zdjęcia moje w wielu razach zgadzają się ze zdjęciami Payera, lecz zagadka, która zajmowała nas zimą, dotąd pozostaje jeszcze bez rozwiązania. Gdzie leży lodowiec Dove i północna część ziemi Wilczka? Gdzie są wyspy Braun, Hoffman i Freeden, oznaczone przez Payera. Bardzo prawdopodobnie badacz austriacki, tak doświadczony topograf, padł ofiarą złudzenia optycznego, inaczej trudno wytłómaczyć podobną omyłkę.

Okolice przylądka Flora są bardzo interesujące pod względem geologicznym. Badałem budowę tych stron tak często, jak mi tylko pozwalał czas, albo sam, albo w towarzystwie dr. Koetlitz'a, członka wyprawy. Robiliśmy wycieczki na wysokie strone moryny i poszukiwania skamieniałości, nadzwyczaj obfitych w tych stronach. Od powierzchni morza do wysokości 250—300 m. grunt jest utworzony z pokładów gliny, zawierającej liczne kawałki czerwonej grauwaki, bogatej skamieniałości. Obecność belemnitów i ammonitów pozwala odnieść wiek tego piętra

do okresu jurajskiego. W wielu miejscach przecina ją go cienkie warstwy węgla i pokłady drzewa kopalnego; ponad tym utworem osadowym rozciąga się potężna (300—350 m.) formacja bazaltu gruboziarnistego, wielce różniącego się od bazaltów typowych, a bardzo zbliżonego do takichże skał Szpicbergu i ziemi Północno-Wschodniej. Zresztą skała ta na ziemi Franciszka-Józefa odznacza się wielką różnorodnością budowy i zajmuje bardzo rozmaite położenie w stosunku do powierzchni morza. I tak, na wyspie North-brook i sąsiednich wysepkach występuje zaledwie na wysokości 250—300 m., podczas gdy dalej na północ tworzy samo wybrzeże. Mniej więcej na wysokości 81° sz. półn. skała ta formuje strome, prostopadłe, prawie ścięte urwiska, jak na przykład na przyłdkach: Fischer, Clements Markham i Mac Clintock.

Zdaje mi się, że bazalt z przyłodka Flora pochodzi z czasów jurajskich. Wistocie spoczywa on na podstawie, której wiek należy odnieść do tego okresu, i zawiera w sobie kawały spodniego pokładu. Na szczycie tej skały wulkanicznej trafiają się skamieniałości, należące do ostatniego piętra formacji jurajskiej. Poziomy układ tego bazaltu na wszystkich wyspach Ziemi Franciszka-Józefa zdaje się wskazywać na istnienie ongi w tych stronach wielkiego kontynentu, podzielonego później na kawałki, dzięki wpływowi erozyi. Wielkie podobieństwo, istniejące pomiędzy budową geologiczną tego archipelagu a także budową Szpicbergu i Ziemi Północno-Wschodniej, każe przypuszczać, że wszystkie te wyspy tworzyły niegdyś jeden kontynent. Dlatego też byłoby bardzo

ciekawem zbadać ten zupełnie nieznaną pas, oddzielający archipelagi, a który musielibyśmy przejść, gdybyśmy nie spotkali wyprawy Jacksona.

Nie można dokładnie określić, jak daleko na północ ciągnie się Ziemia Franciszka-Józefa. Nie wierzę jednak w istnienie wielkiej wyspy w tym kierunku.

Ziemie Petermana i Oskara, odkryte przez Payer'a, muszą być bardzo małe. Płynąc do Ziemi Franciszka Józefa, nie dostrzegliśmy wysp tych, jakkolwiek powinniśmy byli minąć je w drodze. Prócz tego, gdy byliśmy na tej samej szerokości, co i one, wydawało mi się z kierunku, w jakim bryły lodowe były unoszone prądem, że te ostatnie nie napotykały po drodze żadnej przeszkody. Podczas pobytu na przyładku Flora zająłem się zbadaniem znaków, jakie pozostawiły po sobie zmiany w odnośnym poziomie wody i ziemi.

Stacya, jak to już wyżej wspomniałem, założona była na wysokiej linii brzegowej, leżącej na 12 do 15 m. nad poziomem morza. W okolicach można było zauważyć obecność kilku innych taras brzegowych, leżących na rozmaitej wysokości. I tak, domek, w którym zimował Leigh Smith, mieścił się na tarasie, wznoszącej się na 5,3 m., a nieco dalej dawne brzegi morskie dochodziły wysokości 25 m. Na wysie Tcrup, na północnym krańcu archipelagu, zauważyłem już dawniej obecność takich linii, Jackson zaś odnalazł w wielu okolicach, sąsiadujących z przyładkiem Flora, kości wielorybów (*Balaena mysticetus*). Pewnego dnia przewodca wyprawy razem z drem Koetlitz'em odkrył na skale, położonej nad

lodowcem, sąsiadującym z przyładkiem Flora, pokład skamieniałości roślinnych. Odkrycie to zaciekało mnie niezmiernie. 17 lipca udałem się tam w towarzystwie Koetlitz'a, aby zobaczyć tę ciekawą miejscowość. Skąła bazaltowa, o charakterystycznej budowie filarowej, wznosiła się wśród lodowca do wysokości 200—225 m. W dwóch miejscach leżały na niej warstwy żwiru, zawierające odciski rozmaitych części drzew iglastych i liści paproci. Studya, poczynione przez prof. Nathorst'a, nad próbami dostarczo-nemi przezemnie, wskazują na wielkie znaczenie odkrycia, dokonanego przez p. Jacksona i dra Koetlitz'a.

Dnie szybko mijaly, a „Windward“, okręt, który miał przywieźć zapasy żywności dla wyprawy angielskiej, nie przybywał. Opóźnienie to było przyczyną wielkiej niecierpliwości wśród całej załogi. Być może, że został zatrzymany przez lody, a my będziemy zmuszeni tutaj zimować? Takie widoki nie były zbyt pociągające. Dojść tak blisko do celu i być zatrzymanym! Zaczynamy żalować, że nie mogliśmy iść prosto do Szpicbergu, bylibyśmy już może spotkali polujących na foki, o których tak często rozmawialiśmy podczas ostatniego zimowania. Zresztą nie my sami niecierpliwie znosimy naszą dolę. Czterech członków wyprawy, którzy po dwuletnim tu pobycie mają powrócić do kraju, także z niepokojem oczekują przybycia okrętu. Podług zdania Jacksona, „Windward“ powinien był stanąć tu już w połowie czerwca; twierdził, że morze już wielokrotnie było wolne od lodów, tak, że bez przeszkody mógł po nim żeglować. Nie podzielałem tego mniemania.

Przed samą stacją widać có prawda niewielką ilość lodu, ale dalej, na południu, zbity ławica musi zamykać drogę. A więc znów jesteśmy odłączeni od świata. A tam dalej, na widnokręgu, widać pasmo niebieskawych obłoków. Tam po za tą ławicą jest zatem wolne morze. I wciąż to złote marzenie o blizkiem połączeniu.

21 lipca. Dziś powiał wiatr północny; morze, tak daleko, jak okiem sięgnąć, jest wolne od lodów.

22 lipca. Wiatr południowy znów przyprowadził z sobą ławicę do brzegów, a zatem uzbrojmy się w cierpliwość.

26 lipca. W końcu „Windward“ przybył. Dziś zrana przyszedł Jackson i obudził mnie, objawiając mi tę dobrą nowinę. Wstałem i wyjrzałem przez okno. Okręt, tak gorąco oczekiwany, lawiruje koło brzegu, szukając gruntu, gdzieby mógł zarzucić kotwicę. Jakże wydaje się wielkim i wysokim!

Wielkie wzruszenie ogarnęło całą naszą kolonię. Wszyscy wstali i w najdziwniejszych kostyumach przyglądają się statkowi. Nie mając istotnej potrzeby iść zaraz na pokład, położyłem się napowrót do łóżka. Wkrótce nadbiegł Blomqvist, jeden z członków wyprawy, i oznajmił mi, że wszyscy moi są zdrowi i że „Fram“ jeszcze nie powrócił.

Ubrałem się i udałem na pokład, gdzie kapitan Brown, dowódca okrętu, przyjął mnie bardzo serdecznie. Zasiadliśmy później do wyśmienitego śniadania, przy którym dowiedzieliśmy się o rozmaitych niesłychanych nowinach. Można fotografować ludzi poprzez grube drewniane ściany. Japończycy pobili

Chińczyków, Szpicberg został otwarty dla turystów, a Andrée, Szwed, na balonie ma się udać w podróż do bieguna północnego. Najwięcej zainteresowała mnie wiadomość o Szpicbergu. Wzniesiono tam hotel, a my, wracając, znaleźlibyśmy tam nie myśliwych norweskich na foki, lecz turystów angielskich i popłynęlibyśmy do kraju nie na statku rybackim, lecz na eleganckim okręcie pasażerskim, wśród tłumu turystów i turystek angielskich. Ruch gorączkowy panuje obecnie w naszej kolonii. Wszyscy zajęci są przenoszeniem przywiezionych zapasów. Prędej, aniżeli w ciągu tygodnia, zostało dokonane przeniesienie ładunku z okrętu. Czekaliśmy następnie kilka dni, ażeby dać możność Jacksonowi ukończenia korespondencji. Tymczasem zerwała się burza. Pękły liny, utrzymujące statek. Po uciążliwych poszukiwaniach, kapitan okrętu odnalazł wreszcie grunt, lecz nowe miejsce nie było zupełnie bezpieczne. Statek ma za ledwie kilka centymetrów wody pod pudłem. Tymczasem lody, gnane wiatrem, zbierają się w ogromne zwały. Położenie staje się krytycznem; na szczęście, bryły nie podeszły pod statek. W kilka dni później „Windward“ był gotów do odjazdu.

7 sierpnia. Nadeszła chwila pożegnania. Jesteśmy na pokładzie wszyscy, którzy mamy opuścić przyładek Flora, mianowicie: M. M. Tisher, Child, Burgess, Blomqvist, Johansen i ja, a pozostający tu zgromadzili się na brzegu. Przesyłamy ostatnie pożegnanie tym, którzy mają spędzić jeszcze jedną zimę wśród olbrzymiej lodowej pustyni, a „Windward“, pchany pomyślnym wiatrem, oddala się ku południowi.

Prędko i przyjemnie zbiegł nam czas podróży. Przebywszy 220 mil pośród lodowców, dosięgnęliśmy wolnego morza; okazało się, że droga, którą wybraлиśmy, była najlepszą; gdybyśmy byli obrali kierunek więcej wschodni lub zachodni, moglibyśmy być zatrzymani kilka tygodni. Dnia jednego, wpatrując się w morze, dojrzelismy żagiel. A zatem jesteśmy na wodach, uczęszczanych przez statki.

Wieczorem, 12 sierpnia, zobaczyłem na krańcu widnokręgu ciemną długą smugę. Przypatruje się lepiej: to brzegi Norwegii.

Nazajutrz zrana podplynęliśmy pod samo wybrzeże. Nie wygląda ono więcej ponętnie niż to, które pozostawiliśmy za sobą. Wkrótce przybył sternik. Zdziwił się bardzo, usłyszawszy mowę norweską na statku angielskim. Kapitan Brown wymienił mu moje nazwisko. Pozostał jak skamieniały; później oblicze jego rozjaśniło się wyrazem wielkiej radości, potrzęsnał silnie moją rękę i winaował mi, że zdołałem uniknąć śmierci. Wszyscy ludzie przypuszczali, że oddawna zginąłem. Wkrótce „Windward“ wpłynął do portu Vardö, spokojnie, nie budząc niczyjej uwagi. Przedtem jeszcze, nim zapuszczono kotwicę, Johansen i ja wskoczyliśmy do łodzi i, dopłynąwszy do brzegu, udaliśmy się do telegrafu, zkaąd wysłałem ze sto depesz, z których jedna lub dwie zawierały do 1,000 słów.

Wkrótce instrumenty zaczęły przesyłać wiadomość o powrocie dwóch członków wyprawy północnej i o prawdopodobnym powrocie „Frama“ w ciągu tego lata. Pierwsze telegramy wysłano do żony mojej, króla szwedzkiego i rządu.

Wiadomość o naszym przybyciu szybko obiegła całe miasto. Domy i okręty porozwieszały flagi, a ludność obsypuje nas życzeniami i wiwatami. Jednocześnie zewsząd napływają depesze, a każda z dobrą wieścią.

16 sierpnia. „Windward“ podniósł kotwicę i powiózł nas do Hammerfestu. Dzielny kapitan Brown chce koniecznie złożyć swoje uszanowanie mojej żonie, która ma się połączyć ze mną w tym porcie.

21 zapuściliśmy kotwicę przed najdalej na północ leżącym miastem norweskiem. Doznajemy tam równie entuzjastycznego przyjęcia, jak w Verdö. Ku wielkiej radości spotkałem tam sir George'a Boden-Powell, powracającego z Nowej Ziemi, gdzie obserwował zaćmienie słońca. Oddał mi swój jacht do rozporządzenia. Wieczorem przyjechała moja żona i po uczcie, wydanej dla mnie przez miasto Hammerfest, pomieszciliśmy się na pokładzie „Otaryi“, statku sir Baden-Powell'a.

Zrana, 26 sierpnia, zostałem obudzony przez sir George'a, który mi oznajmił, że przyszedł jakiś człowiek i koniecznie chce się ze mną widzieć. Ubrałem się prędko i zszedłem na dół do sali. Zastałem tam naczelnika biura telegraficznego, który mi wręczył następującą depeszę:

Fridtjof Nansen.

„Fram“ powrócił w doskonałym stanie. Na pokładzie wszystko również w stanie zadowolającym. Wyjeżdżam za kilka godzin do Tromsö. Serdeczne życzenia.

Otto Sverdrup.

Wzruszenie moje było tak wielkie, że zaledwie mogłem mówić. Z początku ledwo zdołałem uwierzyć otrzymanej wiadomości. Radość moją podzielano ogólnie nietylko na pokładzie, ale i w mieście.

Nazajutrz stanęliśmy w Tromsö; „Fram“ zarzucił już tam kotwicę. Czyliż mam opisywać radosną scenę przywitania? Teraz jesteśmy wszyscy w Norwegii. Wyprawa dokonała swego zadania. Ruszamy w drogę ku południowi; naprzód płynie statek rządowy, później „Fram“, a w końcu „Otaria.“

Podróż nasza wzdłuż brzegów Norwegii była jedynym pochodem tryumfalnym.

9 września „Fram“ wpłynął do portu w Chrystyanii. Stolica Norwegii urządziła na nasze przyjęcie wspaniałą ucztę. Grzmią armaty, słychać toasty i wykrzykniki, a wiatr igra z flagami, wywieszonemi na każdym domu.

Przypominam sobie dżdżysty czerwcowy ranek, gdy po raz ostatni szedłem wzdłuż tego wybrzeża. Odtąd upłynęło przeszło 3 lata. Pracowaliśmy, sialiśmy—obecnie nadszedł czas żniwa.

ROZDZIAŁ XII.

Raport kapitana Ottona Sverdrupa o podróży „Frama“ od dnia 15 marca 1895 r.

I.

15 marca, gdy doktor Fridtjof Nansen nas opuścił, „Fram“ znajdował się pod 84° 4' szer. półn. i 102° dług. wsch. od Greenwich.

Okręt był otoczony masą lodów, grubą na 8 metrów; Z lewego jego boku sterczało wysokie wzgórze. Na północo-zachodzie, w odległości 13 metrów, wznosiła się wyniosłość, wysoka na 14 metrów; na połowie drogi między nią i statkiem przecinał lód kanał 5-ciometrowej długości; w odległości także 5-iu metrów znajdowała się dawna szczelina, natenczas zamknięta wskutek nacisków, lecz która na wiosnę miała się znów otworzyć.

Na wspomnianej wyżej wyniosłości był pomieszczony skład konserwów i materiałów, potrzebnych do obozowania. „Ski“ i sanki mieściły się także w tem miejscu, abyśmy je mieli gotowemi, w razie gdyby wypadło nam opuścić okręt. Niedaleko statku stała beczka z naftą. W końcu na pokładzie przy lewym boku „Frama“ mieściła się kuźnia.

Najpilniejszą robotą było pozbyć się lodów, tworzących olbrzymie zwały. 19 marca przystąpiliśmy do roboty. Wzgórze, podkopane z przodu, z tyłu i pośrodku, było zrównane z ziemią zaledwie po tygodniowej, zawziętej pracy. W czasie tego temperatura utrzymywała się między -38° a -40° stopniami. Scott Hansen, który brał udział w tych robotach, odmroził sobie wielki palec u nogi.

Gdy przenosiliśmy zapasy żywności z okrętu do składów, mieszczących się na poblizkiem wzgórzu, przekonaliśmy się, że przejście, łączące statek z ławicą, jest w bardzo złym stanie; gdy przeto wyładowanie zostało ukończonem, zbudowaliśmy szeroki most ze śniegu i lodu.

Tymczasem urządzamy się odpowiednio, aby być gotowymi na wszelki wypadek. Budujemy sa-

nie i kajaki, ustawiamy kosze na zapasy, wybieramy i ważymy żywność. Jednocześnie Amundsen, Bentzen, Mogstad i Henriksen wyrabiają „ski,” których nam obecnie zabrakło. Ponieważ owalne podstawki kanadyjskie, używane do chodzenia po śniegu, wydały mi się praktyczniejsze od „ski” do ciągnięcia sanek, kazałem przygotowywać ich 10 par. Poczynając od 1 maja, gdy robota „ski” była już ukończona, urządzaliśmy codzienne wycieczki na łyżwach. Przy końcu marca ławica zaczęła się poruszać. W odległości mniej więcej 20 metrów od okrętu otworzył się kanał szeroki, a wokół niego wielka ilość mniejszych szczelin. Od 11 kwietnia do 1 maja było kilka silniejszych nacisków.

Od 15 marca do 4 kwietnia posunęliśmy się zaledwie o cztery mile ku północy. Później wprawdzie ciągle płyniemy naprzód, ale szybkość postępu była zawsze mniejsza, aniżeli poprzedniej wiosny.

W końcu maja wiatr zmienił się na południowo-zachodni, później na wschodni i północno-zachodni, a okręt zaczął się cofać.

8 czerwca wiatr wschodni odepchnął nas na zachód, a 22 znaleźliśmy się pod $84^{\circ} 31'$ szer. półn. i $82^{\circ} 58'$ dług. wsch. od Gr. Kierunek wiatru nie zmienił się przez cały koniec tego miesiąca i większą część lipca.

Przez czas marca, kwietnia i maja zupełne cisze były bardzo częste, a prądy powietrzne, jeżeli wogóle zjawiały się, to zawsze od wschodu i zawsze bardzo słabe. W ostatnich dniach maja zaczął dać zimny wiatr zachodni.

Życie nasze upływa bardzo jednostajnie; nawet

niedźwiedzie przestały nas odwiedzać; od jakiegoś czasu znikły zupełnie. To też ogromne wzruszenie zapanowało na pokładzie, gdy 7 maja zauważono obecność młodej foki w kanale, położonym obecnie tuż przy „Framie;” Jest to pierwsze z tych zwierząt, które widzimy od marca zeszłego roku. Później nieraz jeszcze spotykaliśmy je w sąsiednich szczelinach. Były zawsze bardzo dzikie i bojaźliwe i zaledwie w połowie lata zdołaliśmy zabić jedno z nich, przytem tak małego wzrostu, że wystarczyło w sam raz na jedno piecyste.

14 maja przeleciała nad okrętem biała mewa (*Larus eburneus*), a 22-go dzwonic. Poczynając od tego dnia, zwiastuny wiosny przelatują nad nami w coraz większej liczbie.

10 czerwca zabiliśmy ptaka morskiego i mewę trójpalczałą, a 20-go tegoż miesiąca dwa nurzyki (Brunnicha).

Jednem z najważniejszych, poruczonych nam zadań, było zbadanie głębin morskich. Na nieszczęście, zły stan naszych lin nie pozwolił nam robić tak częstych sądowań, jak tego sobie życzyliśmy. 15-go czerwca zapuściwszy ołowiankę do głębokości prawie 3,200 m., nie znaleźliśmy dna. Z tym samym rezultatem gruntowaliśmy 22 lipca do głębokości 2,500 i 3,060 m.

W nocy z 22-go na 23 czerwca 8 lub 10 samic Narwali igra w kanale, biegnącym wzdłuż prawego boku okrętu. Strzeliłem do nich kilka razy, lecz bez skutku; puściłem się przeto na łodzi w pogoń za nimi, lecz nie zdołałem ich dopędzić. Zdecydowany zapolować na nie, gdy zdarzy się okazyja,

kazałem przygotować harpuny. 2 lipca zdawało mi się, że zbliża się oczekiwana chwila. W kanale igrała znaczna liczba jednorożców, lecz znikły natychmiast, gdy spuściliśmy łodzie. W kilka dni później ukazały się w innej szczelinie, lecz i tym razem nie zdołaliśmy się do nich zbliżyć.

Od czasu do czasu ukazywały się foki (*Thoca barbata*) około okrętu, lecz także, jak Narwale, były zbyt płochliwe i nie mogliśmy zbliżyć się do nich. W końcu, w pierwszych dniach sierpnia, otrzymaliśmy odwiedziny niedźwiedzia. Od 6-ciu miesięcy nie ukazywało się żadne z tych zwierząt.

Wskutek wstrząśnień i nacisków bryła lodowa, na której mieścił się „Fram,” zaczęła coraz bardziej topnieć, a po gwałtownym szturmie lodów 14 lipca otworzył się kanał tuż przy okręcie. Zdawało mi się, że statek opuści podstawę, na której spoczywał od 22-ch miesięcy, i napowrót ocuci się na wodach. Tymczasem przez czas jakiś pozostał jeszcze na bryle i poruszał się tylko razem z ławicą.

22 lipca ławica znów poddana została straszniemu naciskowi; kra, na której spoczywa okręt, trzeszczy ze wszystkich stron, postanowiłem więc opuścić się i dlatego zdecydowałem się wysadzić ją w powietrze. Wybuch sprawił gwałtowne wstrząśnienie całego okrętu, lecz zdawało się, że lodów nie poruszył wcale. W kilka chwil później rozeszły się jednak, a „Fram” wolno i spokojnie pomknął po falach. W drugiej połowie czerwca i w lipcu płynęliśmy w pożądanym kierunku, nie cofając się prawie zupełnie.

Poczyniliśmy możliwie dokładne przygotowania

na wypadek odwrotu. Posiadamy obecnie osiem sani ręcznych, dwoje dla ciągnięcia przez psy, 5 kajaków, każdy dla dwóch ludzi, a prócz tego jeden dla mnie. Środki te umożliwią nam podróż po ławicy w razie, gdyby okręt został rozbity. Dla dopełnienia tych przygotowań urządziliśmy na pokładzie dwa składy, zawierające zapasy żywności na 70 dni.

17 sierpnia nacisk lodów podniósł „Frama,” jak wiązkę słomy, na wysokość 5,2 m. z tyłu i 3,5 m. z przodu. Nazajutrz jednak statek powrócił do dawnej pozycji. W pierwszej połowie września pogoda była bardzo niejednostajna. Przeważały wiatry zachodnie i południowo-zachodnie, przynoszące to deszcze, to śniegi. W połowie tego miesiąca na skutek ruchu lodów musieliśmy przenieść składy, mieszczące się na wzgórzu lodowem, na okręt.

W październiku naciski powtarzały się coraz częściej. Na szczęście, okręt nasz znajdował się w wyśmienitej przystani. Dwa przyładki, tworzące duże występy z każdej strony zatoki, niweczyły wszystkie ataki, z których najgwałtowniejszy miał miejsce 26 października.

Od 1 listopada zaczął się okres względnego spokoju. Temperatura zniżyła się, wiały przeważnie wiatry wschodnie, a my przez całą pozostałą część zimy płynęliśmy ku północo-zachodowi.

Dzień 22 września, jako dwuletnią rocznicę wejścia naszego w ławicę, obchodziliśmy bardzo uroczystie. Od dnia tego przez ciąg zimy 1895—96 roku położenie nasze znacznie się polepszyło. Poczynając od owej daty, posuwaliśmy się ciągle ku zachodowi,

a do połowy stycznia postąpiliśmy od $82^{\circ} 5'$ do $41^{\circ} 41'$ dług. wsch. od Greenwich.

Poczynając od połowy września mróz, jak to wskazuje poniższa tablica, znacznie się powiększał.

| | |
|-----------------------|--------------------|
| 16 września . . . | — $12,5^{\circ}$ |
| 26 „ . . . | — 24° |
| 19 października . . . | — 30° |
| 5 listopada . . . | — $32,2^{\circ}$ |
| 9 „ . . . | — $38,3^{\circ}$ |
| 22 „ . . . | — $43,6^{\circ}$ |
| 31 grudnia . . . | — $45,6^{\circ}$. |

Wogóle, w czasie ostatnich 3 miesięcy 1895 roku pogoda była prześliczna, ze słabymi wiatrami. Niekiedy tylko, jak np. 11, 26 i 27 listopada, wiały zimne silne wiatry, których szybkość dochodziła do 14,5 m. na sekundę.

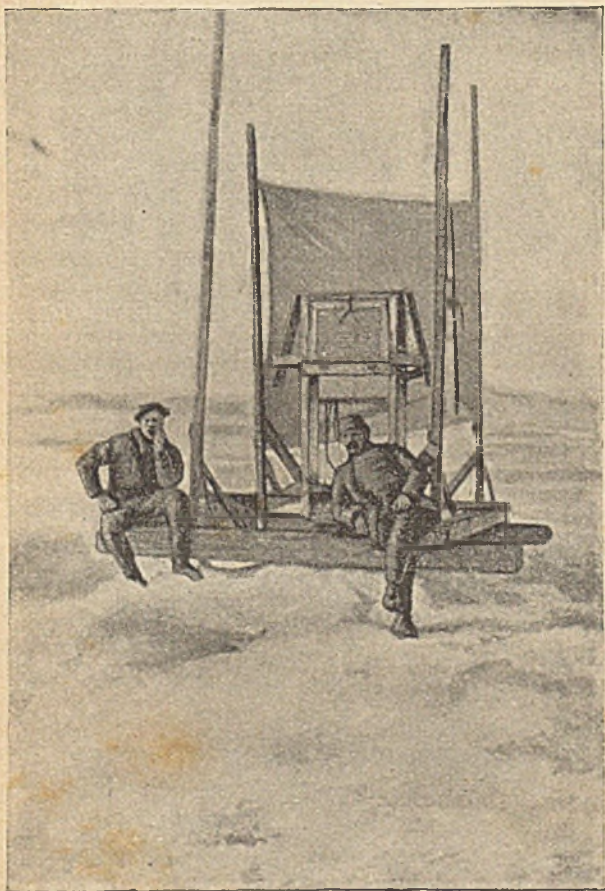
6-go września znikły Narwale, które dotychczas tak często ukazywały się w pobliżu okrętu; w kilka dni później odleciały ptaki.

12 września słońce po raz ostatni o północy ukazało się nad horyzontem. 8 października znikło zupełnie.

Za każdym razem, gdy pogoda i powierzchnia ławicy pozwalają na to, urządzamy wycieczki na „ski“ w okolice okrętu.

7 października w czasie takiej wycieczki jeden z nas odkrył pień drzewa długi przeszło na 2 metry, z korzeniami; prawdopodobnie pochodził on z brzegów syberyjskich.

Rok 1896 zaczął się dniem pogodnym, ale bar-



Obserwatoryum meteorologiczne.

dzo zimnym. Księżyc, niezwykle jasny, błyszczał na czystym, granatowym niebie. W lutym lód, dotychczas spokojny, zaczyna się poruszać. 4-go tego miesiąca nastąpił straszny nacisk. W południe ciemność była jeszcze tak głęboka, że nie mogliśmy rozróżnić ruchów ławicy.

13 lutego, w towarzystwie Henriksena i Amundseny, wyszedłem zbadać stan lodu na południe od okrętu. W tym kierunku lód był poprzecinany licznymi kanałami. Codziennie wskutek ciągłych nacisków otwierały się nowe szczeliny.

Po epoce ciągłego ruchu nastąpił okres spokoju, który trwał aż do 10 kwietnia. 13 maja kanał, leżący między kuźnią i okrętem, zaczął się powiększać, a wkrótce szerokość jego dosięgła 180 m. Drugi kanał ciągnie się ku południo-wschodowi, a trzeci ku północo-zachodowi. O 10 godzinie wieczorem dostrzegliśmy z wysokości bocianiego gniazda olbrzymi otwór w ławicy, rozciągający się ku południowi. Wobec tego postanowilem oswobodzić „Fram“ od otaczających go lodów. Zrobiliśmy w nich 6 otworów i, wypełniwszy je prochem, wysadziliśmy w powietrze. Nie spowodowało to jednak żadnej zmiany w położeniu okrętu. Nanowo podjęte próby nie osiągnęły dodatniego rezultatu; postanowiliśmy przeto oczekiwać dogodniejszej chwili.

Przez pierwsze dwa tygodnie stycznia pogoda była bardzo ładna, lecz zarazem zimna; termometr spadał do 40 — 50^o poniżej zera, 15 stycznia doszedł do 52^o; w następnej połowie temperatura podniosła się i zniżyła dopiero w początku lutego. Od 5 mar-

ca znacznie się ocieplilo. W tym miesiącu notowaliśmy — 12—6°. Kwiecień znów był zimny, a także pierwszy tydzień maja. W tym okresie termometr wahał się między — 20—25. Nareszcie 21-go rtęć, po raz pierwszy w tym roku, podniosła się do + 0,9.

Podczas trzeciego zimowania wśród ławicy posuwaliśmy się razem z nią ciągle w pożądanym kierunku. Ruch nasz był szczególnie szybki między 18 stycznia a 3 lutego, pod wpływem wiatru wschodniego zimnego. Był on tak silny, że 2 lutego mieliśmy prawdziwą burzę; prąd powietrza leciał z szybkością 17 do 20 metrów na sekundę.

15 lutego dosięgliśmy 23° 28' dług. wsch., a 29-go powróciliśmy pod 27°. W przeddzień zabiliśmy dwa niedźwiedzie. Od 16-tu prawie miesiący byliśmy pozbawieni świeżego mięsa, a od 4-ch nie udało nam się zabić ani jednego zwierzęcia.

4 marca ujrzeliśmy słońce. Już poprzedniego dnia ukazało się nad horyzontem, lecz chmury zasłoniły je przed naszym wzrokiem.

W czasie ostatniego zimowania czyniliśmy zarówno dokładne spostrzeżenia naukowe, jak lat poprzednich. Przez czas ten wielokrotnie robiliśmy sondowania dna morskiego, lecz nie mogliśmy go dosięgnąć, mimo to, że ołowianka miała 3,000 m. długości.

25 kwietnia dostrzegliśmy pierwszego zwiastuna wiosny — dzwońca. Wybrał sobie mieszkanie w jednej z naszych łodzi i wkrótce stał się bardzo poufałym. Na nieszczęście, po krótkim pobycie, odleciał. 3 maja przyleciał drugi ptak, a wkrótce później trzeci.

Uraczyły nas małym koncertem, który był dla nas zapowiedzią prędkiego powrotu.

II.

17 maja 1896 roku byliśmy pod $83^{\circ} 45'$ sz. pół. i $12^{\circ} 50'$ dług. wsch. Święto narodowe obchodziliśmy równie uroczyście, jak lat poprzednich. Potem wzięliśmy się do roboty, aby uczynić okręt zdolnym do podróży, gdy nadejdzie chwila wybawienia.

Następnego dnia przyprowadziliśmy do porządku ster i maszyny; 19 maja mogliśmy pozapalać w paleniskach, a 20-go Amundsen puścił w ruch lokomotywę; odtąd „Fram“ nie był już martwym ciałem, rzuconem na łaskę i niełaskę prądów. Zdawało nam się, że wykrzyknie razem z nami: „Dalej w pochód ku południowi!“ Jakkolwiek wiosna się zbliża, stan lodów nie pozwala nam mieć nadziei prędkiego uwolnienia. Wprawdzie temperatura wciąż się podnosi, śnieg topnieje, lecz my pozostajemy bez ruchu na tem samym miejscu. Widać wprawdzie na południu szeroki kanał, lecz jesteśmy oddaleni od niego szerokim pasem lodu. W końcu maja, na skutek wiatrów wschodnich, ławica poczęła się otwierać i płynąć ku południo-zachodowi. 29-go ujrzelśmy na południu wielkie przestrzenie wolnego morza. Postanowiłem więc popробować uwolnić „Fram“ z więzienia lodowego.

Nazajutrz podłożyliśmy ogień pod miny, naładowane 52 kilogramami prochu. Nastąpił wybuch, a rezultaty jego były bardzo zadowalające; lecz okręt mi-

mo to pozostał otoczony lodami. Wykopaliśmy nowe doły i nabili prochem. Eksplozja ta wywarła niemniej niszczące działanie od poprzedniej. Olbrzymia kolumna wody i lodu wytrysła w powietrze, pomimo to nie uwolniła okrętu.

Nazajutrz prowadziliśmy dalej podminowanie lodów, nie zdołaliśmy jednak dopiąć tak gorąco oczekiwanego celu. 2 czerwca zrobiliśmy nowy podkop i naładowaliśmy go 330 gr. bawełny strzelniczej. Wybuch ten pociągnął za sobą daleko wyraźniejsze skutki. Okręt znalazł się na wodach i odtąd czekaliśmy tylko na ustąpienie lodów, aby ruszyć w drogę. Podczas lata zabiliśmy nie mniej jak 17-tu niedźwiedzi. Zdołaliśmy nawet uchwycić żywcem jednego z nich. Wkrótce jednak musieliśmy go wypuścić, gdyż nie-szczęśliwe zwierzę ryczało ciągle.

Dnie tymczasem upływały, a stan lodów nie przepowiadał zbyt szybkiego uwolnienia nas od nich.

14 czerwca lody się rozstały i na zachodo-południu ukazał się wielki kanał. Postanowiłem przeto popłynąć w powyższym kierunku.

Zapaliwszy więc ogień pod kotłami, puściliśmy okręt całym pędem, aby przebić się przez wąską szczelinę, oddzielającą nas od kanału. Pomimo jednak znacznych wysiłków, lody pozostały nieruchome i zmusiły nas pozostać w miejscu.

27-go rozpoczynamy próbę nanowo; o wpół do dwunastej ruszyliśmy w drogę, a o drugiej zmuszeni byliśmy zarzucić kotwicę. W każdym razie przepłynęliśmy dwie mile na południo-wschód. Do 3 lipca pozostajemy zamknięci; tego dnia otworzył się kanał na południo-połudno-zachodzie; popłynęliśmy w tym

kierunku i, zrobiwszy trzy mile, znów się zatrzymujemy.

W nocy z 6 na 7 lipca lody rozeszły się; niezwłocznie przeto ruszamy znów w drogę, lecz tym razem z mniej dodatnim rezultatem; przestrzeń, którą dziś przebyliśmy, nie przewyższa jednej mili.

I w tej długości geograficznej morze jest zarówno bardzo głębokie; nie znaleźliśmy dna, jakkolwiek długość liny do sondowania wynosiła 3,000—3,200 m. 17 lipca przepłynęliśmy 3 mile ku południowi, a 19-go dziesięć. Nazajutrz, t. j. 20-go, byliśmy pod $82^{\circ} 39'$.

27-go tego miesiąca stanęliśmy pod $81^{\circ} 32'$.

Do 12 sierpnia zmuszeni jesteśmy walczyć z lodami i posuwamy się bardzo powoli. Po południu tego dnia, uwolniwszy się od sąsiedztwa groźnych dla nas wysp lodowych, ruszamy w podróż ku południo-wschodowi. Lód jest coraz cieńszy. Od 5-ej godziny wieczór do północy przebiegliśmy 13 mil. Skierowaliśmy się ku południo-zachodowi, później ku południowi i południo-wschodowi, a o trzeciej zrana zobaczyliśmy wolną, jak okiem dojrzeć, powierzchnię morza.

W przeciągu 38 dni przebyliśmy ławicę szeroką na 180 mil. Obecnie jesteśmy wolni, oswobodzeni od kleszczów lodowych, które nas zatrzymały przez trzy lata.

O 7-ej godzinie zrana dostrzegliśmy jakiś okręt; natychmiast skierowaliśmy się do niego, aby otrzymać wiadomości o Nansenie i Johansenie. Jest to galiota „Siostry“ z Tromsø.

Gdy przybliżyliśmy się na doniosłość głosu, zapytałem przez tubę, czy nie mają jakich wiadomości

o Nansenie. „Nie“ odpowiedziano z pokładu i znów głęboki smutek ogarnął nas wszystkich. Po spotkaniu tem skierowaliśmy się ku zachodnio-północnej kończyńie Szpicbergu. Zobaczyliśmy ziemię; od 1,041 dni nie widzieliśmy jej; przez cały ten przeciąg czasu oczy nasze spoglądały tylko na śniegi i lody. 14-go sierpnia zarzuciliśmy kotwicę przy wyspie Duńczyków, gdzie znaleźliśmy wyprawę szwedzką Andréego. I ona też niema żadnych wiadomości o Nansenie.

15 sierpnia odplynęliśmy do Norwegii, dążąc wzdłuż zachodnich brzegów Szpicberga.

Przykro dotknął nas brak wiadomości o Nansenie. Nie obawiamy się co prawda, aby zginął; na ziemi Franciszka-Józefa przebywa obecnie angielska wyprawa Jacksona; prawdopodobnie spotkali ją i czekają obecnie okazyi, aby powrócić do Norwegii. Lecz jeżeli jej nie spotkali... Prawdopodobnie musiał się wydarzyć jaki wypadek, musimy spieszyć im zatem na pomoc. Gdy przybędziemy do Tromsö i nie zastaniemy tam żadnej o nich wiadomości, powrócimy do ziemi Franciszka-Józefa, aby odnaleźć naszych towarzyszków.

19 sierpnia widać w dali góry Norwegii, a 20-go przybiliśmy do Skjervö, małego miasteczka, leżącego na północ od Tromsö.

Wyszedłem na ziemię i udałem się do biura telegraficznego, które o tak wczesnej godzinie było naturalnie zamknięte. Zacząłem ze wszystkich sił stukać do drzwi. Jakaś głowa ukazała się w oknie i zapytała: „A czego tam? Kto widział o takiej porze wszczynać hałas?“ „Dajmy na to—odpowiedziałem—ale proszę mi otworzyć, przybywam z „Frama!“

Urzędnik ubrał się coby prędzej i wprowadził mnie do biura. W kilku słowach opowiedziałem mu nasz powrót i zawód, jaki nas spotkał, gdy nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości o Nansenie.

— O Nansenie! — wykrzyknął urzędnik — ależ ja mogę pana powiadomić o nim! 13 sierpnia przybył do Vardö, a obecnie jest w Hammerfeście. Dziś odjeżdża do Tromsö na jachcie angielskim.

— Jakto, Nansen powrócił? — zawołałem i jednym skokiem znalazłem się na dworze, aby zanieść towarzyszom dobrą nowinę. Radość nasza jest wielką; wznosimy głośne okrzyki i bijemy z dziat na wiwat.

O dziesiątej ruszyliśmy w drogę, a wieczorem stanęliśmy w Tromsö. Nazajutrz jacht „Otaria“ przywiózł Nansena i Johansena i po 17-miesięcznym rozłączeniu cała załoga „Frama“ znalazła się razem.

ZAKOŃCZENIE.

Obecnie mogę przedstawić tylko w krótkości rezultaty, zdobyte przez naszą wyprawę. Żniwo spostrzeżeń naukowych jest tak obfite, że przestudyowanie ich przez specjalistów będzie wymagało wiele czasu i nie będzie mogło być tak prędko ogłoszone.

Po pierwsze, wielokrotne sondowania w rozmaitych szerokościach i długościach geograficznych zapewniły nas, że ocean Północny jest bardzo głęboki, a nie płytki i usiany archipelagami i wyspami, jak dotychczas przypuszczano. Rozległość tego oceanu dziś jeszcze nie może być określona. Podług spostrzeżeń naszych ciągnie się on ku północy od Ziemi Franciszka-Józefa i bardzo prawdopodobnie, obejmuje w sobie morza, położone na wschód od Nowej Syberyi.

Czyż w czasie podróży swej „Jeanetta“ nie spotykała coraz większych głębin w miarę, gdy się posuwała na północ? Z rozmaitych powodów skłonny jestem do przypuszczenia, że przepaście te ciągną się daleko w kierunku bieguna. Najprzód, w czasie wyprawy naszej na „Framie“ i podczas pieszej wy-

cieczki na północ nigdzie nie zauważyliśmy obecności jakiegokolwiek ładu. Wszędzie, przeciwnie, wydawało się, że lody poruszają się z zupełną swobodą. Powtóre, szybkość prądu ku północy wzrastała, gdy południowe wiatry odsuwały ławicę na południow-schód. Gdyby istniała jaka ziemia w tym kierunku, byłaby ruch ten z pewnością zatrzymała. Nakoniec, obecność olbrzymich mas lodu, płynących ku południowi, wzdłuż wschodniego brzegu Grenlandyi, popiera moją hipotezę. Tak rozległe ławice mogą pochodzić tylko z morza daleko większego od tego, jakie przepłynął „Fram.“

Gdyby okręt nasz, zamiast szukać wolnego od lodów morza na północy od Szpicbergu, skierował się był ukośnie, podpłynąłby do brzegów Grenlandyi. Prawdopodobnie jednak nie mógłby zbliżyć się do brzegu, gdyż szeroka przestrzeń lodów zatrzymałaby go. Lody te muszą pochodzić z okolic, położonych na północ od morza, które zwiedziliśmy. Przeciwnie, należy przypuszczać, że po drugiej stronie bieguna archipelag amerykański przedłuża się ku północy daleko, po za ostatnie granice znanych ziem.

Jednym z najgłówniejszych rezultatów naszej podróży było odkrycie drogi, jaką dążą ławice przez ocean północny od cieśniny Berynga do oceanu Atlantyckiego. Zamiast jednolitej nieruchomej masy lodowej, leżącej w pobliżu bieguna północnego, znaleźliśmy nieskończoną ilość brył, będących w ciągłym ruchu.

Kierunek, w jakim płyną góry lodowe, określony jest po największej części kierunkiem wiatrów. Na oceanie Atlantyckim, w okolicach Syberyi, wieją

głównie wiatry południowo-wschodnie i wschodnie, a w okolicach Szpicberga północno-zachodnie.

Wskutek tego przeniesienie się ławicy odbywa się w tym kierunku. Prócz tego, spostrzeżenia nasze stwierdzają obecność prądu, płynącego w tę samą stronę.

Badania hydrograficzne, uskuteczniane w czasie wyprawy, doprowadziły do zdumiewających wyników. Dotychczas przypuszczano, że ocean Północny jest wypełniony zimną wodą, o temperaturze mniej więcej równej $-1,5^{\circ}$. My, przeciwnie, stwierdziliśmy, że pod wierzchnią powłoką zimnej znajduje się gruba warstwa stosunkowo ciepłej wody, której temperatura równa się $+1^{\circ}$; jest ona zarazem bardzo słoną; przyznoszona zaś jest prawdopodobnie przez prąd atlantycki, płynący ku północy i północno-wschodowi, wzdłuż Nowej Ziemi i zachodniego brzegu Szpicbergu. Dostawszy się między te wyspy, zanurza się pod wierzchnią, lżejszą warstwą i wypełnia głębiny oceanu Północnego.

Najwyższa temperatura tych wód wypada na głębokości 375—450 m., w miarę zwiększania się tej ostatniej zmniejsza się stopniowo i wznosi następnie w pobliżu dna.

Wskutek tych spostrzeżeń, dotychczasowe hipotezy o krążeniu wód w oceanach zmieniają się nieco.

Nie mogę przystąpić obecnie do rozbioru licznych obserwacji magnetycznych, astronomicznych i meteorologicznych, na zakończenie podaję tylko tablice, wskazujące średnią temperaturę dla każdego miesiąca podróży naszej.

Wiele zagadnień naukowych, dotyczących się okolic podbiegunowych, dotychczas pozostało nierozwiązanemi; wyprawa nasza podniosła jednak ciemną zasłonę, okrywającą te kraje, i pozwala już wyrobić sobie wyraźny obraz tej części kuli ziemskiej, pokrytej dotychczas tajemnicą.

Autograf Nansena.

"Norge Norge
 hytter og hus og ingen borg,
 du er vort, du er vort
 du er fremtidens land."
 Bjørnstjerne Bjørnson
 Fridtjof Nansen

7 Mars 1877.

DODATEK.

I.

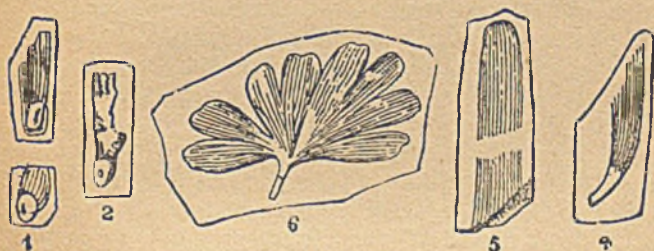
Uwagi nad skamieniałościami roślinnemi, zebranemi na przyładku Horn.

(List prof. A. G. Nathorst'a do Fr. Nansena).

Najliczniejsze odciski kolekcji Pańskiej należą do rodzaju drzew iglastych, bardzo zbliżonych do *Pinus Nordenskiöldii Heer*, znalezionych najprzód w pokładach jurajskich Szpicbergu, wschodniej Syberji i Japonii. Kolekcya ta zawiera również odciski igieł kwiatów i odłamków szyszek, z kilku ziarnami odmiennego rodzaju sosny. Jeden z nich należałoby odnieść do *Pinus Maakiana Heer* z Jury Syberyjskiej. Winieniem jeszcze zwrócić uwagę na odciski *Taxites* o szerokich liściach, podobnego bardzo do *Taxites gramineus Heer* (pokłady jurajskie Szpicbergu i Syberji). Mają one prawie te same wymiary, co liście *Cephalotaxus Fortunei*, istniejące obecnie w Chinach i Japonii. Bardzo ciekawem jest, że odnalazłem w Pańskiej kolekcji szczątki roślin, należących do gatunku *Feilidena*, który dotychczas był spotykany tylko w okolicach podbiegunowych. Roślina ta była odkryta przez Nordenskiölda w pokładach trzeciorzędo-

wych przyłądka Staratschin na Szpicbergu w 1868 r. i opisana została przez Heer'a pod imieniem *Torellia*. Później zmienił tę nazwę na *Feilidcna*, ponieważ pierwsza była nadaną poprzednio pewnemu rodzajowi mięczaków. Liście podobne są do podrodzaju (*nageia*) obecnego gatunku *Podocarpus*.

Najpiękniejszy z okazów, przywiezionych przez Pana, przedstawia odcisk liścia całkowitego małego *ginkgo*. Rodzaj ten charakterystyczny jest tem, że liście jego posiadają istotne szypułki; znajduje się tylko w Japonii i tam ma przedstawiciela w jednym tylko rodzaju. W epokach dawniejszych występował w formach bardzo różnorodnych i w wielu okolicach.



Rośliny kopalne ziemi Franciszka-Józefa.

Podczas okresu jurajskiego był szczególnie obfity w Syberyi. Był także odkryty we wschodniej Grenlandyi, na Szpicbergu i w licznych miejscowościach Europy. Podczas peryodu kredowego i trzeciorzędowego istniał na zachodnim brzegu Grenlandyi aż do 70° sz. pół. Odcisk, znaleziony przez Pana, przedstawia liść, należący do nowego gatunku, który możnaby nazwać *ginkgo Polaris*, podobny on jest nieco do *g. flabellata* Heer, znajdowanego w pokładach jurajskich syberyjskich. Przedstawia także pewne podobieństwo do *ginkgo digitata* Lindley et Hutton, odkrytego w pokładach jurajskich Anglii i Szpic-

bergu; w każdym razie liście tej rośliny są znacznie mniejsze.

Oprócz tego rodzaju, kolekcya Pańska zawiera jeszcze, być może, jeden albo dwa inne, reprezentowane przez odłamki odcisków liści, należących do gatunku *Czekanowskia*, wchodzącego w skład rodziny *gingko*.

Paprocie mają bardzo nielicznych przedstawicieli. Kolekcya Pańska zawiera zaledwie kilka szczątków odcisków, odnoszących się do 4 typów, które określić byłoby bardzo trudno. Jeden z nich odnosi się do gatunku *cladophlebis*, bardzo często trafiającego się w okresie jurajskim, drugi przypomina *thyrsopteris*, nadzwyczaj obficie występujący w Jurze Syberyjskiej, trzeci należy do *onychlopsis*, charakterystycznej skamieniałości dla wierzchnich warstw jurajskich. W końcu czwarty prawdopodobnie można odnieść do *asplenium (Petruschinense)*, opisanego przez Heer'a, a pochodzącego z Jury Syberyjskiej.

Przewaga drzew iglastych, rzadkość paproci i nieobecność zupełna *Cykadców*, nadaje roślinności ziemi Franciszka-Józefa pozór podobieństwa do roślinności Szpicbergu, jakkolwiek w obu tych krajach gatunki są różne. Flora kopalna tak Szpicbergu, jak ziemi Franciszka-Józefa, odpowiada ciepłemu, a w każdym razie daleko łagodniejszemu klimatowi, aniżeli ten, jaki panuje obecnie w tych okolicach. O ile można sądzić z odnalezionych gatunków, jest daleko prawdopodobniejszym, że flora, wyżej omawiana, odnosi się do wierzchniego, aniżeli do średniego piętra jurajskiego.

BIBLIOTEKA MI
 H. SIENKIEWICZA
 w PRUSZKOWIE
 Nr. 59215

II.

TABLICE, WYKAZUJĄCE ŚREDNIĄ TEMPERATURĘ KAŻDEGO
MIESIĄCA W CZASIE PODRÓŻY „FRAMA.”

| Miesiąc | 1893 | 1894 | 1895 | 1896 |
|--------------------|---------------------|---------------------|---------------------|---------------------|
| Styczeń | — | — 35,7 ⁰ | — 33,4 ⁰ | — 37,3 ⁰ |
| Luty | — | — 35,6 ⁰ | — 36,7 ⁰ | — 34,7 ⁰ |
| Marzec | — | — 37,3 ⁰ | — 34,8 ⁰ | — 18,7 ⁰ |
| Kwiecień | — | — 21,1 ⁰ | — 28,7 ⁰ | — 18,1 ⁰ |
| Maj | — | — 10,1 ⁰ | — 12,1 ⁰ | — 10,7 ⁰ |
| Czerwiec | — | — 1,4 ⁰ | — 2,8 ⁰ | — 1,7 ⁰ |
| Lipiec | — | + 0,2 ⁰ | + 0,26 ⁰ | — 0,1 ⁰ |
| Sierpień | — | — 1,0 ⁰ | — 2,5 ⁰ | + 1,1 ⁰ |
| Wrzesień | — 1,6 ⁰ | — 8,2 ⁰ | — 9,5 ⁰ | — 9,5 ⁰ |
| Październik . . . | — 18,4 ⁰ | — 22,5 ⁰ | — 21,2 ⁰ | — 21,2 ⁰ |
| Listopad | — 24,2 ⁰ | — 30,8 ⁰ | — 30,9 ⁰ | — |
| Grudzień | — 29,2 ⁰ | — 31,9 ⁰ | — 32,9 ⁰ | — |

TABLICA ŚREDNIEJ TEMPERATURY DLA KAŻDEGO
MIESIĄCA, OBSERWOWANA PRZEZ NANSENA I JOHANSENA.

| Miesiąc | Średnia temperatura | Maximum | Minimum |
|--------------------|---------------------|---------------------|---------------------|
| Marzec | — 38,8 ⁰ | — 22,8 ⁰ | — 46,1 ⁰ |
| Kwiecień. | — 28,9 ⁰ | — 18,9 ⁰ | — 37,2 ⁰ |
| Maj | — 31,1 ⁰ | — 2,2 ⁰ | — 23,7 ⁰ |
| Czerwiec. | — 1,1 ⁰ | + 3,3 ⁰ | — 12,6 ⁰ |
| Lipiec. | 0 ⁰ | + 2,7 ⁰ | — 2,2 ⁰ |
| Sierpień | — 1,6 ⁰ | + 2,2 ⁰ | — 7,3 ⁰ |
| Wrzesień | — 6,6 ⁰ | + 5,0 ⁰ | — 20,0 ⁰ |
| Październik. . . . | — 18,3 ⁰ | — 8,8 ⁰ | — 25,0 ⁰ |
| Listopad | — 25,0 ⁰ | — 12,2 ⁰ | — 37,2 ⁰ |
| Grudzień | — 25,0 ⁰ | — 11,1 ⁰ | — 38,3 ⁰ |
| Styczeń | — 25,1 ⁰ | — 7,2 ⁰ | — 43,3 ⁰ |
| Luty | — 23,3 ⁰ | — 1,1 ⁰ | — 40,0 ⁰ |
| Marzec | — 12,2 ⁰ | — 1,1 ⁰ | — 33,9 ⁰ |
| Kwiecień. | — 13,3 ⁰ | — 2,7 ⁰ | — 25,4 ⁰ |
| Maj | — 7,6 ⁰ | + 6,1 ⁰ | — 23,9 ⁰ |
| Czerwiec. | — 1,6 ⁰ | + 3,7 ⁰ | — 5,0 ⁰ |

OKRESY, W CZASIE KTÓRYCH TERMOMETR SPADAŁ
DO -40° .

| Rok | Styczeń | Luty | Marzec | Listopad | Grudzień |
|------|------------------------|---------|---------|----------|---------------|
| 1894 | 11 — 12 | 3 — 7 | 5 — 15 | 14 — 15 | 8 — 10 |
| | 14 — 15 | 11 — 19 | 17 — 19 | — | 17 — 18 |
| | 27 — 29 | 23 — 24 | 25 — 26 | — | 30 — 1 stycz. |
| 1895 | 14 — 18 | 9 — 10 | 19 — 23 | 20 — 23 | 7 — 8 |
| | 23 — 26 | 13 — 16 | 26 — 28 | — | — |
| | — | 18 — 22 | — | — | — |
| 1896 | grud. stycz. 29 — 1 | 4 — 9 | 4 — 5 | — | — |
| | — | 11 — 20 | — | — | — |

ŚREDNIA TEMPERATURA W CIĄGU 24 GODZIN PODCZAS
KAŻDEGO Z TYCH OKRESÓW.

| Rok | Styczeń | Luty | Marzec | Listopad | Grudzień |
|------|---------------------|---------------------|---------------------|---------------------|---------------------|
| 1894 | — 38,2 ⁰ | — 44,7 ⁰ | — 44,4 ⁰ | — | — 40,4 ⁰ |
| | — 39,6 ⁰ | — 41,9 ⁰ | — 43,2 ⁰ | — 41,6 ⁰ | — 33,5 ⁰ |
| | — 40,3 ⁰ | — 39,2 ⁰ | — 40,1 ⁰ | — | — 41,5 ⁰ |
| 1895 | — 40,6 ⁰ | — 40,8 ⁰ | — 39,9 ⁰ | — | — |
| | — 43,5 ⁰ | — 41,7 ⁰ | — 38,7 ⁰ | — 40,6 ⁰ | — 39,7 ⁰ |
| | — | — 40,2 ⁰ | — | — | — |
| 1896 | — 43,2 ⁰ | — 40,6 ⁰ | — 37,6 ⁰ | — | — |
| | — | — 41,8 ⁰ | — | — | — |

